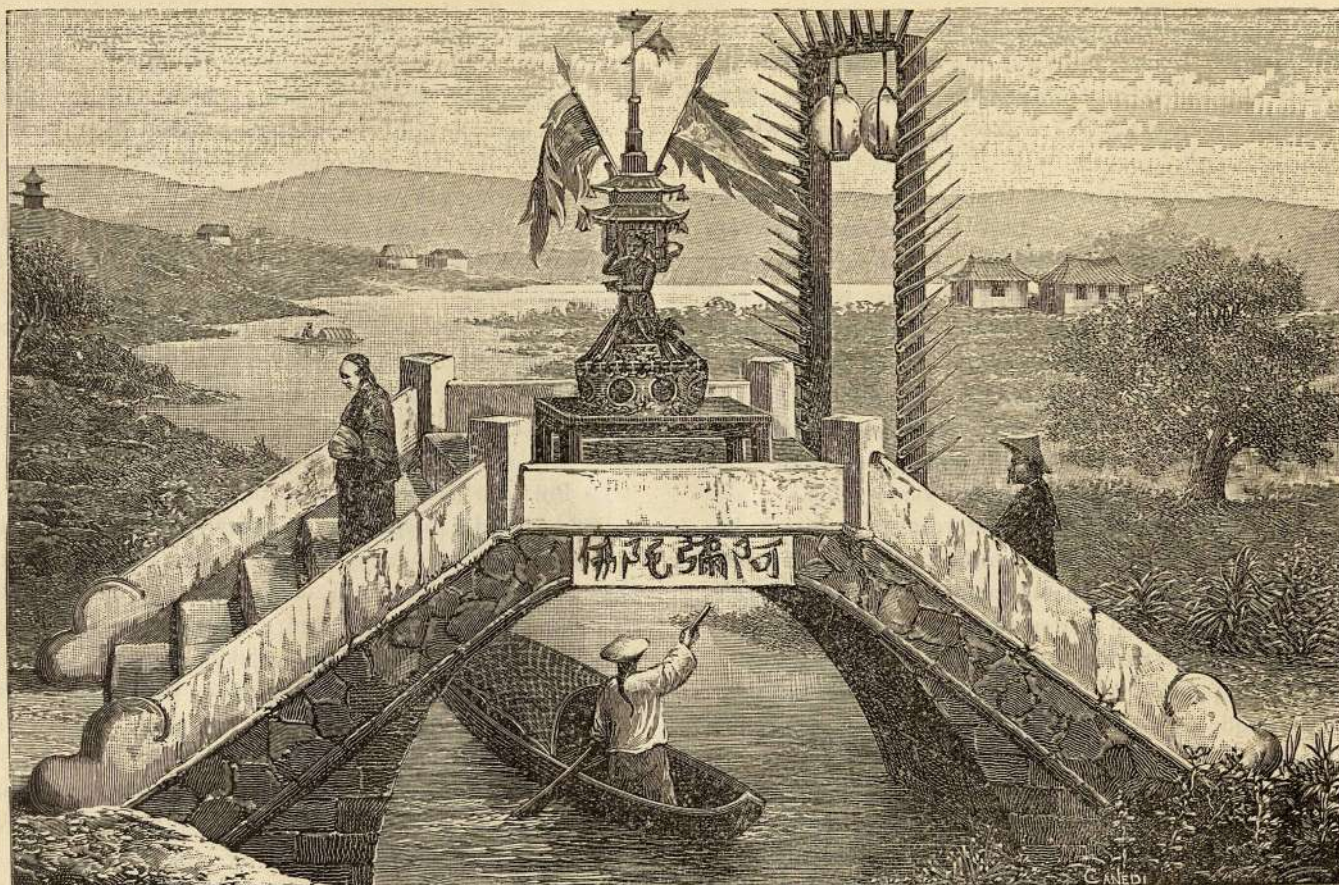




Chiny. — Most chiński, na którym składają się ofiary bożkom; podług rysunku O. Ranary, misjonarza w Szang-Haju.

Missya w Sonderbonds,

podług sprawozdania O. Canoy, misjonarza w Bengalu.

Sonderbonds jest to bardzo szeroka równina, ciągnąca się od Kalkuty aż do zatoki Bengalskiej; podług twierdzenia uczonego Williama Huntera, kraj ten utworzył się stopniowo z mułu, składanego tam corocznie od wieków przez wody Gangesu. Ponieważ nie wszystkie wody spadające podczas pory deszczowej spływają do morza, corocznie więc cała równina zamienia się w olbrzymie jezioro, na powierzchni którego widać tu i owdzie wioski podobne do małych wysepek. Wysepki te powstały z ziemi, wyrzucanej przy kopaniu sadzawek służących za zbiorniki wody słodkiej. Na każdej wysepce wznosi się parę nędznych chałup, ocienionych kilkoma drzewami. Podczas powodzi są to jedyne przedmioty, urozmaicające monotonną powierzchnię prowizorycznego oceanu. Kilka takich wysepek stanowi wioskę.

Reszta kraju jest pustym, jałowym obszarem, bez drzew i jakichkolwiek wypukłości gruntu, który od czerwca zalany bywa wodą, nad nią zaś ryż zieleni się, dojrzewa i zostaje żęty. Natomiast w suchej porze roku

ogromne obszary, pokryte mułem, są niemożliwymi do przebycia tak, że podróże pieszo odbywają się tam zaledwie przez kilka miesięcy w roku. Główny środek komunikacyjny stanowią łodzie i pirogi, snujące się ustawicznie po prawdziwym labiryncie niezliczonych kanałów, które łączą wsie jedne z drugimi.

W suchej porze roku Sonderbonds bardzo się ożywia. Polowanie i rybołówstwo wywabia z domów biednych rolników; na kanałach snują się pirogi, wiozące ryż i inne artykuły żywności. Jedni naprawiają dachy bambusowe lub słomiane, uszkodzone przez okropne wichry podczas pory deszczowej, drudzy zbierają liście palmowe lub przygotowują ziarna ryżowe do siewu, który się odbywa niezwłocznie po pierwszych deszczach. W chwilach wolnych od zajęć, krewni i przyjaciele składają sobie wizyty, spędzając całe noce na tańcach, muzyce i śpiewie.

W pierwszych dniach czerwca wszyscy krajowcy zamykają się w domach, oczekując z trwogą pierwszych burz i deszczów. Jeżeli poziom wody stopniowo się podnosi, wówczas można jeszcze skosić dojrzały ryż, rosnący na nizinach, zalanych zawsze wodą, a nawet uprawiać rolę i zasiać zboże. Skoro jednak powódź nastąpi niespodziewanie, lub gdy towarzyszy jej cyklon,

wówczas grunta znikają nadle pod wodą, giną całkowicie nie tylko świeże zasiewy, ale też i cały plon już dojrzały, którego zebrać nie zdołano. W takim też razie do domów zrozpaczonych rolników puka okropne widmo głodu.

Nadto pomiędzy nader liczną ludnością tej krainy znajduje się też wielu wyrobników, nie mających ani piędzi ziemi i utrzymujących się z pracy rąk własnych. Ponieważ podczas powodzi wszelkie prace w polu przynajmniej na ośm miesięcy zostają zawieszone, biedni ludzie tracą jedyne źródło zarobku. Przez czas niejaki, dopokąd im starczą pieniądze, kupują sobie ryż, a gdy się wyczerpią wszystkie zasoby, zaczynają się błąkać od wioski do wioski o żebraczym chlebie, lub żywią się trawą, dopóki nie umrą wskutek wycieńczenia.

W suchej porze roku dostarcza żywności rybołówstwo. Wówczas kanały, bagniska i pola, zalane wodą, pokrywają się mnóstwem najrozmaitszych sieci, zastawionych na ryby. Po nad stawami urządzają krajowcy pompy nader pierwotnej konstrukcji, złożone z wydrążonych pni palmowych i w przeciagu dni kilku wypompowują wodę z sadzawki do pobliskiego dołu. Następnie brodząc po kolana w mule, łowią ryby rękami.

W szerokich kanałach, z których wody wypompuwać niepodobna, rybołówstwem wyłącznie trudnią się kobiety. Nieraz można je tam widzieć zanurzone do pasa w wodzie, skulone i zajęte całymi godzinami łapaniem drobnych rybek, pływających w kanale. Gdy zaś posłyszają plusk wiosła i spostrzegą nadpływający pirog, wówczas wszystkie te wychudłe, skulone postacie, wyprostowują się na chwilę i spoglądają na podróżnych wzrokiem, w którym się maluje przygnębienie i znużenie ciągłą walką o byt. Walka zaś taka toczy się ustawicznie na całej przestrzeni kraju!

Podczas powodzi i ten nawet środek zdobycia nędznej żywności, musi ustać na czas pewien. W tym czasie skutkiem niemożności zebrania plonów, zwykła cena ryżu podwaja się, a nawet wzrasta we czwórnasób. Z drugiej strony brak pracy każe biednym krajowcom żyć z mozolnie zapracowanego grosza, codzienne porcyje jadła zmniejszają się stopniowo, potem wszystkie sprzęty i klejnoty matki rodziny zostają sprzedane za kilka miarek ryżu, a wreszcie nieszczęśliwi ci ludzie muszą się wyłącznie żywić liśćmi palmowymi lub odgrzebywać w zalanym ogródku nędzne korzenie i trawy.

Najprzód ofiarą głodu padają dzieci, potem starcy i chorzy, na wszystkich zaś czołach coraz większa maluje się rozpacz. Zwykle okropnej klęsce głodu towarzyszą inne jeszcze klęski, a zwłaszcza tyfus i inne zakaźne choroby. Źródłem wszystkich tych chorób są miazmata, wydobywające się z delty Gangesu, a o których okropnej potędze głoszą nawet elementarne podręczniki do geografii.

Obok tyfusu najgroźniejszą i najbardziej złowrogą

dla mieszkańców Sonderbonds podczas pory deszczowej jest cholera. Zbytecznem byłoby mówić, że wówczas dla misjonarza rozpoczyna się okres ciągłej pracy, trosk i obaw; jeżeli zaś niedawno przybył do tej krainy, to przez długi czas nie może się przyzwyczaić do widoku niezliczonych wązkich kopców, które w pobliżu każdej niemal wioski wyłaniają się z wody, kryjąc w swem wnętrzu zwłoki nieszczęsnych ofiar głodu i zarazy.

Oto obecne położenie kraju, którego grunt pomimo ciągłych zmian klimatycznych i atmosferycznych należy niezaprzeczenie do najżyźniejszych na ziemi.

* * *

Pomimo swej nędzy i niedostatku, Bengalczycy z Sonderbonds, ulegający w znacznym stopniu wpływowi braminów, okazują się po większej części nieprzychylni dla Chrystyanizmu. Jak przed stu laty, tak też i dzisiaj każdy krajowiec, który się odważy wyrzec zabobonów i błędów tej religii, w jakiej się urodził, naraża się na wykluczenie z kasty, a nawet z grona rodziny, która do żadnych już względem niego nie poczuwa się obowiązków.

Niekiedy jednak nędza i ciągłe procesa, wytaczane przez Zemindarów, skłaniają biednego Bengalczyka do ostatecznego kroku. Nieszczęśliwy zbliża się więc do chrześcijan z nadzieją otrzymania od nich pomocy, której też o ile możliwości nigdy mu nie odmawiają. Potem stopniowo dochodzi do przekonania, że bałwochwalstwo jest rzeczą śmieszną i żadnej nie mającą podstawy, a wreszcie zgłasza się do jednej z licznych misyj chrześcijańskich w tym kraju z prośbą o przyjęcie go do swego grona. Jakież to jednak są misysy?

Oto od lat już przeszło ośmdziesięciu istnieją w Sonderbondzie misysy protestanckie, wspierane hojnie przez współwyznawców z Europy, którym wysoki budżet pozwala rozwinąć działalność w tej ubogiej i nieszczęśliwej krainie. Prawie bezustannie przebiegają jej zakątki niezliczeni baptyści, anglikanie, metodyści, oksfordczycy, a nawet panie anglikańskie z Kalkuty. Zakładają oni szkoły, udzielają krajowcom jałmużn lub pożyczek i popierają działalność miejscowych pastorów, rekrutowanych przeważnie z pomiędzy Bengalczyków, opłacanych nader sownie. Każdy Bengalczyk odznacza się niezwykłą chciwością, humanitarne zaś misysy protestanckie umieją wybornie wyzyskać dla swoich celów tę jego słabą stronę.

Co do moralnych wyników tej działalności, to niezbyt korzystnie się przedstawiają, nawrócenia bowiem są tylko pozorne, gdyż braknie im nadprzyrodzonej łaski Sakramentów świętych, przede wszystkim zaś daje się uczuwać brak Sakramentu Pokuty, który na ludzkie serca i sumienie tak dobroczynny wpływ wywiera.

Zbytecznem byłoby mówić, że działalność protestanckiego pastora nie zdoła nigdy przynieść takich wyników, jak praca katolickiego kapłana, który nie waha się nauczać niezmordowanie nie tylko w szkole, ale także pod dachem bengalskiej chałupy; którego powołanie, a zwłaszcza dobrowolny celibat ogólny u Bengalczyków wzbudza szacunek. — Daremnem byłoby szukać w missjach protestanckich zgody i jedności, wszystkie bowiem nawzajem się nienawidzą, a w łonie ich ciągle panują rozterki.

Te właśnie niesnaski pozwoliły nam przed dwudziestu laty pozyskać w Sonderbonds pierwszych naszych wiernych. Oto nie mogąc już dłużej znosić ciągłych zatargów z baptystami i anglikanami, najlepsi z pomiędzy krajowców, porozumiewszy się ze sobą, wyrzekli się dobrowolnie wszelkich materialnych korzyści, jakie im protestanckie zapewniały sekty i zgłosili się do niezmordowanego O. Delplace, aby się udać pod ojcowską opiekę missyj katolickich. Wówczas kilku najdzielniejszych naszych missjonarzy pospieszyło na ten nowy posterunek missyjny.

Dziś grono naszych wiernych w Sonderbonds składa się z 3000 osób, których duchowne potrzeby zaopatrują missjonarze mieszkający w Morapai i Raghabpore. Jakże się przedstawiają po dwudziestu latach duchowne owoce missyjnej działalności?

Oto niemal wszyscy ci chrześcijanie są już dokładnie oświeceni we wierze i odbywają nieraz długie uciążliwe podróże, aby w niedzielę wysłuchać Mszy świętej, w główne zaś uroczystości kościelne przystąpić do Stołu Pańskiego. Każda rodzina posyła swą dziatwę do szkoły missyjnej, rodzice zaś czuwają tak troskliwie nad swoimi dziećmi, że pod tym względem mogliby służyć za przykład wielu katolikom z Europy.

W miarę przyswajania sobie zasad chrystyanizmu, poczcwi ci ludzie coraz większą pomiędzy sobą utrzymują solidarność i nie wyzyskują się nawzajem, co u Bengalczyków jest nader rzadkim przymiotem. Coraz częściej zdarzają się piękne rysy chrześcijańskiej miłości bliźniego, wielu bowiem neofitów daje jałmużny ubogim, pielęgnuje zapadłych na cholerę, lub bezinteresownie pomaga biednemu sąsiadowi naprawić uszkodzony dach, albo uprawiać rolę.

Mówiono mi nawet o pewnym bogatym chrześcijaninie, mieszkającym w pobliżu stacyi missyjnej, że poświęcił wszystkie swe fundusze na kupno ryżu po niższej cenie, teraz zaś, gdy cena jego wzrosła we czwórnasób, sprzedaje go nadzwyczaj tanio najuboższym katolikom. Tak szlachetne rysy charakteru są tu daleko rzadsze niż w Europie i dlatego tem większe posiadają znaczenie. — Niejednokrotnie słyszałem rozrzucające przykłady przywiązania do katolickiego Kościoła. Oto jeden z wielu:

Niegdyś we wsi Banrijer-Chank mieliśmy jedną

tylko poczcwiwą katolicką rodzinę, otoczoną protestantami. Pewnego razu powzięli oni szatański prawdziwie zamiar, zmuszenia biednych naszych chrześcijan do odstępstwa. Gdy nalegania i groźby nie wywarły oczekiwanego skutku, postanowili sekciarze chwycić się ostatecznego środka. Oto pewnej nocy po obfitej uczcie, piętnaście uzbrojonych protestantów wyciągnęło przemocą katolików z ich mieszkania, dając im do wyboru śmierć lub apostazję. Atoli przygotowawszy się poprzednio modlitwą do odparcia tej napaści, neofici nasi pozostali niezłomni, odpowiadając swoim prześladowcom najpiękniejszymi słowami, jakie kiedykolwiek z ust Bengalczyka zdarzyło mi się słyszeć.

— Jeżeli mamy umrzeć — zawołali jednogłośnie — to umrzemy chętnie, nic nas jednak nie zdoła skłonić do wyrzeczenia się Kościoła i religii.

Zaledwie protestanci usłyszeli te słowa, rzucili się zapalczywie na ojca rodziny, który upadł pod ich ciosami, potem na syna spieszącego mu z pomocą, a wreszcie na matkę, która widząc konające swe dziecię, oddała się sama w ręce napastników. Po chwili wszystkie trzy ofiary zalane krwią i w nieludzki pokaleczone sposób, leżały u nóg swych katów, wołając jednak ciągle:

— Pragniemy pozostać katolikami!

Wreszcie nieprzyjaciele, przerażeni widokiem krwi, uciekli, pozostawiając na progu domu troje zemdlonych wyznawców. Znalezione ich tam nazajutrz rano i z trudnością zdołano przywrócić do życia. Przez parę tygodni ojciec rodziny walczył ze śmiercią, ale na koniec wszyscy troje odzyskali zdrowie. Wkrótce potem Pan Bóg w cudowny sposób wynagrodził ich wytrwałość. Po wymierzeniu kary winowajcom, jeden z nich wzruszony do głębi, przyszedł pewnego wieczora do poczcwiwych naszych wiernych.

— Ponieważ nie chcecie wraz z nami być protestantami — rzekł — my więc podobnie, jak wy, katolikami zostaniemy.

Rzeczywiście, niebawem wszyscy towarzysze poszli za jego przykładem, tak, że obecnie cała ta wieś złożona z 15 domów jest już katolicką.

Ktoś nas zapytywał, czy nasi missjonarze z Sonderbonds płacą swym wiernym za przyjęcie katolicyzmu. Odpowiedź na to pytanie musi wypaść przecząco. Materialne nasze środki są tak ograniczone, że gdybyśmy nawet chcieli, to nie moglibyśmy żadną miarą wspierać ubogich katolików, dla których judaszowe złoto, obiecywane przez rozmaite sekty protestanckie, jest nieraz nader wielką pokusą. I owszem, dzieje się przeciwnie; pomimo swego ubóstwa neofici katolicy z Sonderbonds urządzają pomiędzy sobą w miarę potrzeby składki na utrzymanie ołtarzy i naprawę kaplic. Zasiłek miesięczny, przesyłany przez missję, wystarcza zaledwie na wyżywienie 100 dzieci, uczęszczających do szkoły i bardzo skromną opłatę katechistów.

Nietylko missyjonarze nie zachęcają krajowców datkami pieniężnymi do nawrócenia się na katolicyzm, ale nawet niejednokrotnie odprawiają katechumenów, którzy w jakikolwiek sposób zdradzili swą chciwość i chęć zysku.

Zresztą pocóżbyśmy mieli rozdawać im pieniądze?

Żaden Bengalczyk nie może stać się prawdziwym chrześcijaninem, jeżeli go z misją jakikolwiek materyalny będzie łączył interes. Przeciwnie im większą Bengalczycy odznaczają się chciwością, z tem większą gorliwością należy przeciw niej walczyć, a przynajmniej nie dawać do niej okazji.

Gdyby bowiem jedynie pieniądze skłaniały ich do przyjęcia prawdziwej religii, to niebawem przestaliby wierzyć w Boskie jej pochodzenie i w konieczność należenia do Kościoła katolickiego.

Zamiast więc dążyć do zwiększenia ilości wiernych, rekrutując do nich każdego, kto się zdarzy, missyjonarze starają się pozyskać dla wiary świętej tylko najlepsze, najszlachetniejsze jednostki, aby utworzyć z nich grono prawdziwych chrześcijan, którzyby postępowali podług nauki Chrystusa, szanowali jej zasady, byli wierni danemu słowu i wierze małżeńskiej, mieli litość dla ubogich, odznaczali się bezinteresownością względem swych kapłanów i troszczyli się o religijne wychowanie dzieci.

Oto tryb postępowania, przyjęty przez naszych missyjonarzy, zasady te bowiem są prawdziwą zasadą Chrystyanizmu i one też jedynie zdołają podnieść nader niski poziom pogańskich pojęć u krajowców.

Należy przyznać, że z powodu nader zepsutego charakteru bengalskiej ludności, nawrócenie jej przedstawiało się jako bardzo uciążliwe pole pracy, nie dające zresztą żadnej ręką powodzenia. Od samego początku nie liczni niestety nasi missyjonarze rozwijali swą działalność w nader szczupłym zakresie, usiłując wykształcić stosunkowo małe grono prawdziwych

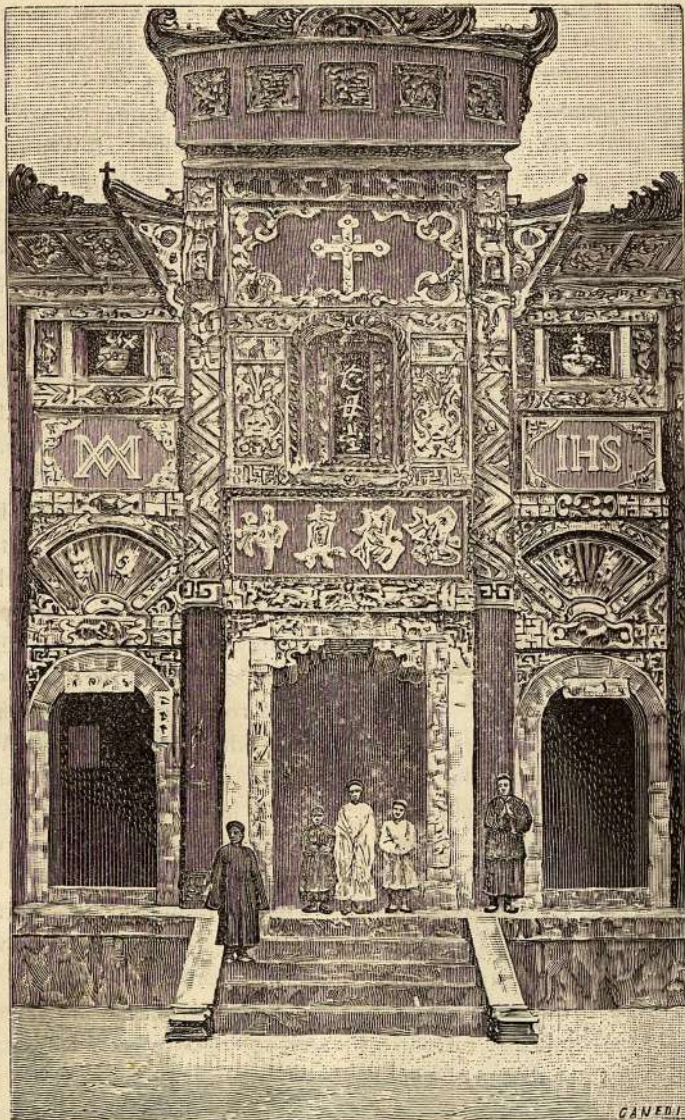
chrześcijan, którzyby mogli służyć dla reszty mieszkańców za wzór do naśladowania. Pomimo że rozmaite sekty protestanckie dawały im zupełnie fałszywe pojęcie o religii chrześcijańskiej, dziś już cnoty niezbyt wprowadzie licznych, ale wzorowych naszych neofitów, wynagradzają missyjonarzy za gorliwe ich trudy, a razem są ręką piękną i obfitego żniwa, jeżeli naturalnie Opatrzność raczy udzielić środków do rozszerzenia dotychczasowego pola działalności.

Co do Bengalczyków protestantów, to prawdopodobnie stanie się z nimi toż samo, co się stało z barbarzyńcami w Europie, nawróconymi na Chrystyanizm w V wieku naszej ery. Oto chociaż arianie nawrócili wówczas całe hordy, ale ten połowiczny Chrystyanizm barbarzyńskich plemion żadnych nie wydał owoców i wtedy dopiero został zreformowany, uzupełniony, oraz zaczął wywierać wpływ na obyczaje pogańskie, gdy katolicy missyjonarze wysłani przez Papieża Grzegorza Wielkiego dotarli do tych ludów.

Co do arianizmu, ten wkrótce potem zupełnie uległ rozkładowi. W Indjach, a zwłaszcza w Chota-Nagpore i Bengalu protestantyzm za pomocą swych szkół i zakładów dobroczynnych przyczynia się znacznie do wykorzenienia szatańskich zabobonów i dziwacznych przesądów, właściwych nadgangesowej mitologii.

Miejmy więc nadzieję, że Kościół katolicki uwieńczy to dzieło, nadając obyczajom Kolów i Bengalczyków cechę prawdziwie chrześcijańską i oświeci całkowicie umysł tych ludów, które dziś już zaczynają uczuwać w sobie prąd, mający je zaprowadzić pod słodkie jarzmo Jezusa Chrystusa. Utworzenie nawet w ostatnich czasach przez Jego Św. Papieża Leona XIII seminaryum indyjskiego w Kandy, które tak piękną ma przed sobą przyszłość, zdaje się wskazywać, że godzina łaski już się zbliża.

(Dok. nast.).



Chiny. — Facyata kościoła katolickiego w Kian-Li; podług fotografii.

Męczennicy chińscy z Zakonu Kaznodziejskiego

zaliczeni w poczet Błogosławionych 1893 r.

(Dokończenie).

III.

Proces i wyrok śmierci wydany na misjonarzy.

Pomimo tak jasnych dowodów niewinności Ojców misjonarzy, wszystkie machinacje, towarzyszące chińskim śledztwom i procesom, stały się znowu na porządku

dziennym z większą jeszcze niż poprzednio surowością i okrucieństwem. Nieubłagani prześladowcy chcieli za jakąkolwiek cenę uzyskać wyrok śmierci pięciu misjonarzy. Wiedząc dobrze, iż ich współbracia wielkim w Pekinie cieszą się wpływem i że dwór cesarski nie myśli wcale o krwawym prześladowaniu chrześcijan, usiłowali nadać podstępny swym manipulacjom cechę słuszności i sprawiedliwości.

Pomimo tego misjonarze z łatwością obalili wszystkie uczynione sobie zarzuty, tak, że gdyby sę-



Chiny. — Więźniowie chińscy w „kangach”; podług fotografii.

dziowie bezstronnie zapatrywali się na sprawę, to musieliby bez wątpienia uznać po raz drugi ich niewinność. Niestety, wszyscy ci ludzie bali się gniewu wice-króla i chcąc pozyskać jego względy, stosowali się ściśle do wymagań tego nieprzejednanego prześladowcy chrześcijan. Naturalnie w ciągu procesu nie zapomniano i o torturach, gdyż księża biskupi Sanz i Serrano otrzymali po 85 policzków, OO. Alcober i Royo zostali skazani na biczowanie, a O. Diaz zniósł po dwakroć straszną torturę, polegającą na ściskaniu nóg zapomocą odpowiedniego przyrządu.

Wreszcie po upływie trzech miesięcy sędziowie nie mogąc opierać się dłużej naleganiom wice-króla,

który ich oskarżył o opieszałość, wydali wyrok, skazujący misjonarzy i kilku chrześcijan na wygnanie z obrębu Chińskiego państwa, innych zaś uwiezionych bardzo łagodna miała spotkać kara.

Atoli i tym razem wice-król niezadowolony z takiego wyroku, obalił go samowolnie, poczem w pierwszych dniach listopada 1746 r. skazał nieustraszonych wyznawców na karę śmierci.

Podług opisu przesłanego z więzienia przez X. biskupa Serrano do przełożonych jego zakonu, wyrok ten brzmiał jak następuje:

„Pięciu Europejczyków: Pe-To-Lo (Sanz), Hoa-Kiu (Royo), Ksi-Hoang-Tehi-Ko (Diaz), Te-Fan-Tehi-

Ko (Serrano), Fi-Jo-Wuang (Alcober), zostaje skazanych na karę śmierci przez ścięcie za to, że błędną wśród ludności szerzyli naukę; sekretarz zaś Pe-To-La (Sanza), Kuo-Hy-Jin (Ambroży), ma zostać powieszony za rozkrzewianie fałszywego prawa Bożego. Wyrok dotyczący Pe-To-La (Sanza), musi niezwłocznie zostać spełniony, czterej zaś inni Europejczycy wraz z Chińczykiem Ambrożym Hy-Jinena pozostaną w więzieniu aż do dalszego rozkazu.

»Nadto Tehin-Józef-Tehung-Hoey, Kuo-Lukasz-Kin-Jin, Wuang-Tadeusz Gochin i Tehin-Dominik-Kuen-Chio zostają skazani na wieczne wygnanie, ponieważ udzielali Europejczykom schronienia w swych domach, ostatni z nich jednak, jako 77-letni starzec, może niewielką kwotą pieniężną wykupić się od tej kary.

»Uczeni Tehin-Franciszek-Lau, Tehin-Tomasz-Ksau-Gau, Tehin-Dominik-Kieu, Tehin-Józef-Koan i Tehin-Mikołaj-Ksin tracą swe stopnie wraz ze wszystkimi zaszczytnymi oznakami, zostają skazani na biczowanie i przez cały miesiąc muszą nosić kangę za przestrzeganie przepisów fałszywego prawa.

»Czterej Chińczycy, którzy w ostatnich latach jeździli do Kantonu, aby przewieźć z tamtąd pakunki Europejczyków, a mianowicie Mieu Rajmund-Ksang-Ju, Mieu-Paweł-Kin, Mieu-Franciszek-Pung i Chin-Tomasz-Me, powinni zwrócić rządowi 10 piastrów otrzymanych od cudzoziemców w nagrodę za swe usługi. Wreszcie wdowa Mieu-Marya-Hy, oraz dziewice z Trzeciego Zakonu (św. Dominika), Kuo-Teresa-Chun, Kuo-Lucya-Hieu, Mieu-Joanna-Tehin, Kuo-Aloizya-Ksa i Tehin-Róża-Kuey, zostają skazane na biczowanie i kangę na szyi za przyjmowanie w swych domach Europejczyków i wyznawania ich błędnej nauki. Wszystkie jednak te kobiety mogą niewielką kwotą pieniężną wykupić się od wyznaczonej dla siebie kary.

Jedenastego roku panowania cesarza Kien-Longa, 7 dnia 11 miesiąca (dnia 18 listopada 1746 r.).

Czeu-Hio-Kien, wice-król prowincji Fo-Kien«.

Powyższy wyrok potrzebował wszakże potwierdzenia cesarskiego. Dlatego wice-król wysłał go do Pekinu wraz z dokumentem, w którym wyłuszczył obszernie cały przebieg procesu przyszłych męczenników. Dokument ten stanowi prawdziwe arcydzieło wyrafinowanej chińskiej dyplomacji, gdyż z niezwykłym talentem umiano w nim wykazać wszystkie zbrodnie zarzucane misyjnikom, n. p. niemoralne życie, posługiwanie się czarami na szkodę drugich i t. p.

Czeu-Hio-Kien wiedział dobrze, jak słabe wrażenie wywrą podobne zarzuty na dworze cesarskim w Pekinie, który utrzymując dość blizkie z kapłanami katolickimi stosunki, powziął o nich zupełnie odrębne przekonanie. Dlatego główny nacisk położono na wykrócenia, zdolne podrażnić najbardziej ambicję każdego

Chińczyka, a mianowicie lekceważenie cesarskiego dekretu, jakiego dopuścili się misyjnicy, wkraczając nieprawnie na terytorium chińskiego mocarstwa. Jako dowód buntowniczych intryg, przytaczano wykazy chrztów, przesyłane corocznie do Europy przez wszystkich misyjników.

»Każdemu kto przyjmie ich religię, głosił powyższy dokument, nadają oni obce imię (jest tu mowa o imieniu chrzestnym) i corocznie wysyłają do Europy dokładne spisy swych stronników, aby zostali zaliczeni do mieszkańców państw europejskich«.

Dzięki gruntownej znajomości języka chińskiego i przywdzianiu ubioru krajowców, misyjnicy przez czas długi niepoznani pracowali w kraju i dopiero wówczas rząd chiński dowiedział się o istnieniu ich w swym państwie, gdy uczony Ton-Ki-Tsu zdradził obecność ich w Fokienie. Dlatego też, jak twierdził wice-król tej prowincji, musiano z nimi postąpić stosownie do surowych edyktów poprzednich cesarzy i surowem śledztwem odkryć całą prawdę.

Przy końcu odezwy wice-król zwracał uwagę naczelnych władz rządowych na coraz bardziej wzrastający wpływ naszych kapłanów, radząc użyć przeciwko nim jak najbardziej energicznych środków. Przytem dodał, że tylko przez śmierć wszystkich pięciu opowiadaczy Ewangelii zło z korzeniem wyrwane być może.

Napróżno misyjnicy zamieszkali w Pekinie poruszali wszelkie możliwe sprężyny, aby cofnąć lub złagodzić wyrok śmierci, wydany na mężnych wyznawców. Wprawdzie cesarz Kien-Long łudził ich przez czas długi pięknymi obietnicami, idąc jednak za namową swego powiernika i doradcy, wszechwładnego ministra Ne-Konga, który należał do najzaciętszych prześladowców Chrystyanizmu, oddał sprawę misyjników najwyższemu trybunałowi sądowemu dla dokładnego jej zbadania i dnia 21 kwietnia 1747 r. potwierdził niesprawiedliwy wyrok śmierci.

Wice-król Fokienu, który przybył osobiście do Pekinu w celu poparcia swej sprawy, otrzymał w nagrodę wrogiej dla chrześcijan polityki godność państwowego Tsang-To, czyli intendenta wodnej komunikacji.

Gdy czcigodny wyznawca X. biskup Sanz dowiedział się od pewnego chińskiego kapłana o wydanym na siebie wyroku, z ust jego wydobył się radosny i pełen zapału okrzyk: *Te Deum laudamus!* Chrześcijanie niezwłocznie ofiarowali ukochanemu swemu pasterzowi piękny nowy ubiór z prośbą, aby go przywdział w dniu męczeństwa.

Niestety, zacny kapłan chiński, przywiązany całym sercem do naszych męczenników, nie zdołał pomimo wszelkich usiłowań dostarczyć X. biskupowi Sanz'owi Wiatyku na drogę wieczności. Jednak świątobliwy pasterz mógł się jeszcze wypowiedzieć przed jednym z za-

konnych swych braci i wprzód, niż się udał na miejsce stracenia, pozwolono mu na dłuższą modlitwę i ostatnią rozmowę z towarzyszami niedoli. Wreszcie uściskawszy serdecznie czterech pozostałych apostoelskich pracowników, X. biskup Sanz podążył za swymi katami do sali sądowej, gdzie mu publicznie odczytano wyrok.

— Umieram — odezwał się czcigodny pasterz do stojących w pobliżu mandarynów — umieram za świętą moją wiarę i z głębokim przekonaniem, że dziś jeszcze dusza moja zostanie przyjęta do przybytku Błogosławionych. Ponieważ nie mogę dłużej być apostołem tej krainy, pragnę więc przynajmniej modlić się za nią w Niebie.

Po chwili związano mężnemu wyznawcy obie ręce i stosownie do zwyczaju zawieszono mu na szyi tablicę z napisem, mówiącym wyraźnie, że za omawianie umysłów ludzkich obcą, fałszywą nauką, Pe-To-Lo zostaje skazany na karę śmierci przez ścięcie.

Ogromne tłumy ludności towarzyszyły X. biskupowi Sanz na miejsce stracenia, tworząc dlań jakby honorowy orszak. Wśród tłumu widać było zarówno pogan, jak i chrześcijan z Fo-Ganu i Fu-Czeu-Fu. Jednych wiodła ciekawość i chęć zobaczenia naczelnego cudzoziemskiego bonza, znoszącego tak mężnie srogie prześladowanie, drudzy pragnęli okazać w ten sposób ukochanemu pasterzowi swe przywiązanie i współczucie. Przez całą drogę nieustraszony wyznawca Chrystusa modlił się gorąco, na twarzy zaś jego jaśniał spokój, połączony z jakąś nadziemską radością. Paganie podziwiali szlachetną i pełną powagi postać męczennika, który tak odważnie spoglądał w oczy śmierci, chrześcijanie zaś z jego spokoju czerpali dla siebie pociechę i naukę.

Wreszcie przez południową bramę miasta smutny orszak dotarł na most drewniany, gdzie się zwykle odbywały egzekucje. Tam sędzia rozkazał uklęknąć Biskupowi, który ochoczo spełnił ten rozkaz, prosząc zarazem o kilka chwil na ostatnią modlitwę. Następnie z wesołą i uśmiechniętą twarzą zwrócił się do swego kata i rzekł:

— Teraz, mój przyjacielu, pójdę już do Nieba. O jakże pragnę, żebyś i ty mógł tam się dostać!

— I ja również życzę tego sobie z całego serca — odparł kat, zdejmując X. biskupowi niewielką czapkę chińską z głowy, poczem jednym cięciem miecza zadał mu cios śmiertelny.

Było to dnia 26 maja 1747 r. o godzinie 5 wieczorem.

Podług zabobonnych przekonań Chińczyków, dusza skazańca napada zwykle na pierwszego lepszego człowieka, stojącego w pobliżu i wywiera całą swą zemstę za wykonanie wyroku śmierci. Dlatego skoro głowa nieszczęśliwego więźnia stoczy się na ziemię, przerażeni Chińczycy uciekają co sił starczy.

Po śmierci X. biskupa Sanz'a stało się wręcz przeciwnie, gdyż zamiast myśleć o ucieczce, wszyscy mieszkańcy schodzili się tłumnie na miejsce egzekucji, aby się lepiej przypatrzeć zwłokom świątobliwego męża, którego dusza najmniejszej nie wzbudzała w nich obawy.

Nagle przez liczne grono ciekawych przedarł się słynny zbójca imieniem Tsing-Ku-Lyuen i zaczął zbierać skrzętnie na duży kawał płótna skrzepłą krew męczennika. Uczynił to z polecenia chrześcijan, którzy mu powierzyli tak trudne zadanie, wiedząc dobrze, że temu człowiekowi herkulesowej siły i postawy nikt nie odważy się przeszkodzić. Po dokonaniu polecenia Tsing-Ku-Lyuen, nie obmywając wcale rąk, wrócił do domu i dotknął dłońmi krwią zbaczonymi czoła kilkorga swych dzieci.

— Niech was błogosławi krew męczennika! — zawołał z głębokim wzruszeniem. Potem stłukł wszystkie bałwany i fetysze, jakie się znajdowały w domu, gdyż postanowił wraz z całą rodziną modlić się odtąd tylko do chrześcijańskiego Boga.

Po niejakiem czasie udał się znowu na miejsce stracenia i zabrawszy ztamtąd kamień, na którym dopełniono egzekucji, umieścił go ze czcią w swoim mieszkaniu i wyrzył na nim napis: *Pe-lao-tse-ten-tien-che*, to jest »kamień, na którym czcigodny mistrz Pe poniósł śmierć męczeńską«. Gdy znajomi radzili mu wyrzec się religii zmarłego Biskupa, mówiąc, że wszyscy, którzy się trzymają jego nauki, takiemuż samemu, jak on, ulegną losowi, Tsing-Ku-Lyuen odpowiedział z uśmiechem:

— Tem lepiej, bo wówczas z całą rodziną pójdę z pewnością do Nieba.

Tymczasem chrześcijanie zdołali wydobyć z rąk urzędników zwłoki ukochanego swego Pasterza i uroczysty wyprawili mu pogrzeb. Przy grobie dniem i nocą czuwało kolejno 12 wiernych.

Dowiedziawszy się o tem mandarynowie, kazali zniszczyć kamienny krzyż na grobie, trumnę zaś przenieść na miejsce, na którym spoczywały ciała wszystkich skazańców. Tam właśnie po niejakiem czasie znalazł ją X. Mateusz Su, kapłan chiński ze Stowarzyszenia misyj zagranicznych w Paryżu. Zwłoki zachowały jeszcze wszelkie cechy świeżości, twarz naturalną miała barwę, z rany zaś zadanej w rękę męczennika, płynęła jasno-czerwona krew. Widząc to poganie, chcieli spalić święte szczątki, ale po raz drugi chrześcijanom udało się je uratować.

Na wieść o chwalebnem męczeństwie błogosławionego Sanz'a, X. Biskup pekiński we wszystkich kościołach swojej diecezyi rozkazał odśpiewać *Te Deum laudamus*, za przykładem zaś jego poszedł X. Biskup z Makao, który wraz z czcigodnym wikaryuszem apostoelskim Jun-Nanu, X. biskupem Martillac, odprawił nabożeństwo dziękczynne. W uroczystem nabożeństwie

wziął udział namiestnik portugalski z całą swoją świtą, tudzież wszyscy przedstawiciele zakonnego i świeckiego duchowieństwa.

W przeciągu trzech dni urządzano w Makao każdego wieczora wspaniałą iluminację na cześć świętobliwego Biskupa-Męczennika. Niebawem we wszystkich kościołach, należących do zakonu kaznodziejskiego, odbyły się również solenne nabożeństwa dziękczynne, generał zaś tego zgromadzenia, O. Antoni Bremond, skreślił do jego członków przesłiczną odezwę, głosząc w niej, że się cieszy jak rolnik w dzień żniwa, iż gorące pragnienie męczeństwa, żywione niegdyś przez św. Dominika, ziściło się obecnie na jednym z jego synów.

Tymczasem czterej pozostali wyznawcy wraz z katechistą Ambrozjuszem Ko, spędzili jeszcze 16 miesięcy w rozmaitych chińskich więzieniach, gdzie stosownie do miejscowego zwyczaju, wypiętnowano im na czołach wydany na nich wyrok.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, dwaj zacięni chińscy kapłani zdołali nie tylko przedrzeć się do więzienia, ale nawet pokrzepili przyszłych męczenników upragnionym przez nich św. Wiatykiem. Ta wielka duchowna pociecha wraz z nadzieją palmy męczeńskiej, osłodziła im znacznie pobyt w więzieniu, o którego okropności nie potrzebujemy chyba mówić naszym czytelnikom.

»Mówisz mi, pisał X. biskup Serrano do O. Miralta w Kantonie, że słyszałeś, iż w mojej celi więziennej spokój i dobry humor ani na chwilę mię nie opuszcza. Tak jest rzeczywiście. Małą zaiste i nieznaczącą rzeczą jest to, co możemy złożyć w ofierze naszemu Bogu i Zbawicielowi. Cóżby więc było, gdybyśmy tę drobną nawet ofiarę niechętnie Mu składali? Jeżeli byś mię Ojczy, wspaniale obdarzył, to z pewnością nie przyjąłbym twego daru, gdybym wiedział, żeś wbrew swej woli to uczynił. Nie mogę, niestety, ofiarować Panu Jezusowi nic lepszego, jak tylko swą nie wiele wartą głowę, powinienem więc przynajmniej złożyć tę ofiarę ochoczo i radosnie. *Hilarem datorem diligit Deus* — wesołego dawcę lubi Pan Bóg«.

Spokojnie więc, a nawet z upragnieniem i niecierpliwością oczekiwali wszyscy czterej wyznawcy męczeńskiej śmierci. Wreszcie dnia 28 października 1748 r. wykonano na nich wyrok, który miał uwieńczyć ich skronie chwalebną palmą męczeństwa.

Niestety, za mało posiadamy szczegółów o ostatnich chwilach ich życia. Wiemy tylko, że prześladowcy próbowali najprzód otruć męczenników, a gdy się im to nie udało, zamordowali ich w więzieniu.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa wykonano tę egzekucję pokryjomu z obawy, aby podobnie jak śmierć błogosławionego Piotra Sanza, nie wywarła na całą ludność silnego i głębokiego wrażenia.

Męczeństwo pięciu misyjników Dominikanów było

jakby hasłem do rozpoczęcia okropnego prześladowania chrześcijan we wszystkich niemal prowincjach chińskiego mocarstwa.

Tegoż samego roku (1748) dwaj inni misjonarze OO. Tristan d'Attimis i Antoni Henriquez, po wielu katuszach więziennych, ponieśli śmierć męczeńską w mieście Su Czeu-Fu, stolicy prowincji Kiang-Nanu, wkrótce zaś zacięły fanatyzm chiński nowych z grona chrześcijan zażądał ofiar. Wówczas dopiero, gdy widoczna kara Boża dosięgła podżegaczy i inicjatorów tego prześladowania, nie wyłączając nawet rodziny królewskiej, która straciła matkę i najstarszego brata, Kien-Long położył tamę dalszemu znęcaniu się nad chrześcijanami i dla misyj katolickich w Chinach lepsze rozpoczęły się czasy.

Wkrótce po umęczeniu przez Chińczyków pięciu naszych misyjników, rozpoczął się proces ich beatyfikacji, a dnia 8 czerwca 1777 r., Papież Pius VI uznał ich za prawdziwych męczenników, którzy krwią własną stwierdzili wiarę w Jezusa Chrystusa.

W r. 1892 rozstrzygnięto ostatecznie kwestyę w tej mierze, a dnia 6 stycznia roku ubiegłego, Papież Leon XIII ogłosił Brewe dotyczące beatyfikacji pięciu bohaterskich misyjników, których uroczystość obchodzono w Watykanie dnia 14 maja 1893 r.

Oby ci nowi Błogosławieni, jaśniejący jak gwiazdy w dziejach kaznodziejskiego zakonu, raczyli wstawić się do Boga za licznych swych następców, którzy dziś w missjach chińskich pracują w pocie czoła!

KONIEC.

LISTY Z AUSTRALII

X. Stefana Marschner'a do X. A. L. w Krakowie.

(Ciąg dalszy).

—*—

VI.

Stacya św. Józefa nad Daly-River w Północnej Australii,
dnia 7 kwietnia 1892 r.

Tym razem mogę z radością donieść Waszej Przewielebności, że dnia 29 lutego odbył się u nas pierwszy ślub chrześcijański, który dwoje naszych wychowanców dozgonnym połączył węzłem. Jestto, że się tak wyrażę pierwszy owoc, jaki po dziesięciu latach niezmordowanej pracy dojrzał na pięknej drzewie naszego apostolstwa.

W pobliżu rezydencji misyjnej zbudowaliśmy dla młodej pary niewielki, ale ładny domek, otoczony dokoła ogródkiem. Żywność i odzież będą nowożeńcy otrzymywali od misyi, ofiarując jej nawzajem własną pracę. W taki sposób pomiędzy naszymi dzikimi powstał pierwiastek chrześcijańskiego rodzinnego życia.

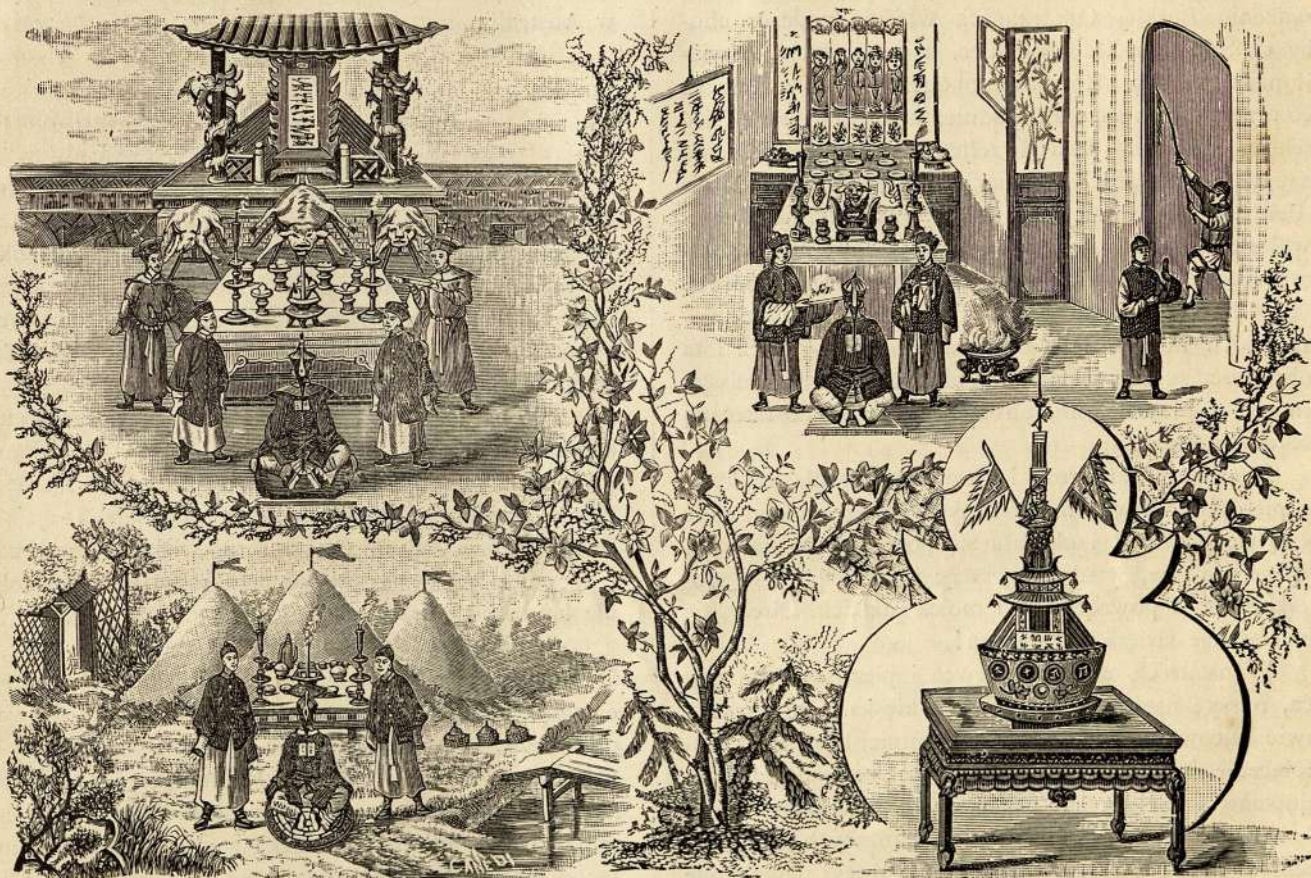
Wprawdzie pomiędzy poganami a naszymi wierzniymi znaczna istnieje już różnica, ale polega ona niemal wyłącznie na formach zewnętrznych, nie sięgając jeszcze do głębi ich ducha. Dopiero od przyszłych pokoleń możemy się spodziewać prawdziwie chrześcijańskiego życia, któreby było wynikiem wewnętrznego przekonania i objawem własnej ich woli.

Mamy obecnie w szkółce 14 dzieci, z których już prawie wszystkie przystępowały po kilka razy do świę-

tych Sakramentów Pokuty i Eucharystyi. Skoro zaś tylko pozwolą nam środki, niezwłocznie przyjmujemy większą ilość dziatwy szkolnej, na młodzieży bowiem spoczywa w znacznej części przyszłość naszej misyi.

Pod względem materialnym zrobiliśmy w nowej rezydencji nader pocieszające postępy. Oto uprawiliśmy około trzy hektary wybornego gruntu, który nam pozwala dość pomyślnych spodziewać się plonów.

Niestety, w roku bieżącym prawie ciągle trwała



Ofiary z trzech zwierząt.
Ofiarnicy przed grobem przodków.

Ofiary przed bożkiem bogactw.
Ofiary z kadzideł.

Chiny. — Ceremonie pogańskie w Kiang-Nanie. (Zob. »Wiadomości bieżące« i *Missye katolickie* z r. 1893, art.: Szang-Hai).

posucha, z powodu której rola nie mogła dostarczyć roślinom wilgoci niezbędnej do ich rozwoju.

Trzoda nasza składa się już obecnie z 650 kóz, prócz tego mamy 40 krów, 18 koni, 7 osłów i przeszło 150 kur. W ostatnich czasach jedno z najładniejszych naszych cieląt zostało podczas pojenia porwane przez aligatorkę. Szczęściem w pobliżu znajdowało się kilkoro dzieci, które ujrawszy, że aligator stara się wciągnąć swą zdobycz w głąb wody, przybiegły nad brzeg rzeki i okropnie zaczęły krzyczeć. Po chwili jeden z krajowców dosięgnął ostrzem włóczni zuchwałego rabusia, który widząc tyłu nieprzyjaciół, stracił zupełnie głowę, wypuścił nieszczęśliwą ofiarę, sam zaś ukrył się na dnie

rzeki. Wówczas krajowcy wydobyli z wody biedne pokaleczone cielę i na łodzi przewieźli do stacyi. Niestety musiano je tam zabić ku wielkiej radości dziatwy szkolnej i innych krajowców, którzy sobie z niego wyprawili ucztę.

Zuchwalstwo swe aligator przypłacił życiem, gdyż skoro tylko wychylił się z wody, oglądając się dokoła za zdobyczą, natychmiast jeden z naszych dzikich poczęstował go kulą.

Wbrew swemu zwyczajowi, krajowcy nie chcieli jeść tym razem mięsa aligatorki, a to dlatego, że żarłoczny ten potwór pożarł w swym życiu wiele kobiet i dzieci.

VII.

Norwood dnia 30 września 1892 r.

Od chwili skreślenia ostatniego mego listu (w drugiej połowie czerwca¹⁾), zaszły w naszej missyi nader ważne zmiany. O. Strele zachorował niebezpiecznie na febrę, która trwała dość długo i tak dalece wyczerpała jego siły, że niepodobna już prawie się spodziewać, aby tak zasłużony misyjnarz odzyskał całkowicie zdrowie i mógł dalszej poświęcać się pracy. Dzięki widocznemu zrządzeniu Boskiej Opatrzności, właśnie podczas choroby O. Strele'go, O. Reschauer, jako wizytator, odwiedził naszą missyę. Rozmaite okoliczności, a zwłaszcza chęć przeniesienia się na południe, wyrażona przez Ojca Strele'go, skłoniła Ojca Przełożonego do zawieszenia misyjnej działalności w stacji misyjnej Stella-Maris w Palmerstonie. Ponieważ i ja wówczas tam się znajdowałem, uchwalono więc, że wraz z Bratem Eberhardem powinienem towarzyszyć O. Strele'mu w podróży na południe i pozostać w jednej z naszych południowo-australskich missyj. Przemawiała za tem również i ta okoliczność, że ze względu na obecne stosunki, missya północna między dzikimi, posiada więcej, niż dostateczną ilość misyjnarzy.

Źródłem wielu trosk i kłopotów jest dla nas kwestya pieniężna. Gdyby materyalny byt naszej missyi choć trochę się poprawił i okazała się potrzeba większej ilości pracowników, wtedy nie tracąc ani chwili czasu, pospieszyłbym z powrotem do moich dzikich. Niech się jednak dzieje święta wola Boża!

W ostatnich dniach czerwca i pierwszej połowie lipca, missyę naszą wielka dotknęła klęska. Oto wszyscy prawie Ojcowie i Bracia chorowali mniej lub więcej niebezpiecznie na influenzyę, która też nie oszczędziła krajowców i wiele z ich grona pochłonęła ofiar.

Między innymi umarł jeden z naszych uczniów, imieniem Amand, który już od roku służył codziennie do Mszy świętej i jak najpiękniejsze na przyszłość rokował nadzieje. Takie muż samemu losowi uległ pewien ojciec chrześcijańskiej rodziny, który z pomiędzy wszystkich dzikich zasługiwał najbardziej na zaufanie. Umarł on w głębi lasu, pozbawiony wszelkiej religijnej pomocy. Mały jego synek oddawna już ochrzczony, widząc, że ojciec kona, ukląkł i wraz z innym towarzyszem zaczął głośno odmawiać modlitwy, jakich się w szkole nauczył. Niestety, kilku krajowców tak nagle śmierć zaskoczyła, żeśmy nie zdołali nawet udzielić im Chrztu świętego.

Oby Bóg raczył natchnąć wielu szlachetnych dobroczyńców współczuciem dla naszej missyi! Oddawna już misyjnarze odmawiają sobie najniezbędniejszych rzeczy, żyjąc w prawdziwym niedostatku, ale niestety

pomimo ich poświęcenia i zaparcia się siebie, działalność misyjna musi się przerwać, jeżeli nie otrzyma od dusz szlachetnych niezbędnego dla niej poparcia.

Obecnie przebywam w Adelaidzie (Norwood), wkrótce zaś udam się prawdopodobnie do jednej z tutejszych stacji misyjnych, gdzie się spotkam z kilkoma Polakami i będę mógł przypomnieć sobie niezbyt gruntownie znane mi zasady polskiego języka. Mam też nadzieję przesłać w następnym liście Waszej Przewielebności trochę szczegółów o jego rodakach, pracujących w Australii.

VIII.

Kooringa Port Adelaide w południowej Australii
dnia 30 listopada 1892 r.

Od dnia 10 października jestem w Koorindze o 100 mil angielskich na północ od Adelaidy. W tutejszej stacji misyjnej pod wezwaniem św. Józefa mieszka około 70 rodzin, niemal wyłącznie irlandzkiego pochodzenia. Cała Kooringa wraz z najbliższą okolicą liczy niespełna 2000 mieszkańców, pomiędzy zaś nimi obok katolików znajdują się przedstawiciele rozmaitych sekt.

W pobliżu naszego kościoła stoi świątynia anglikańska, wzniesiona pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny. Również i metodyści oraz tak zwani »chrześcijanie biblijni« wraz z członkami »armii zbawienia« mają tu swoje kaplice. Wierni nasi są to po większej części zacni i poczciwi ludzie, gotowi do najcięższych ofiar w obronie katolickich przekonań.

Istnieje też w Koorindze szkoła państwowa, ale kierownicy jej, niestety, nie troszczą się wcale ani o naukę religii, ani o chrześcijańskie wychowywanie młodzieży. Naturalnie, szkoła taka nie odpowiada bynajmniej wymaganiom katolickiej ludności, która też własnym kosztem zbudowała porządną szkołkę prywatną wraz z ładniutkim klasztorkiem dla trzech zakonnic, trudniących się kształceniem katolickiej dziatwy. Ofiarność ta ze strony naszych wiernych na tem większe zasługuje uznanie, że muszą oni również łożyć znaczne koszt na utrzymanie szkoły rządowej, jak gdyby własne ich dzieci do niej uczęszczali.

Nietylko jednak katolicka gmina utrzymuje własnym kosztem szkołę i klasztor, ale nadto przyłożyła się hojnym datkiem do budowy pięknego naszego kościoła w stylu gotyckim, jak również mieszkalnego domu dla trzech misyjnarzy. Ona wreszcie dostarcza w znacznej części środków utrzymania dla misyjnarzy i zakonnic.

Dotąd jeszcze nie spłacono długu zaciągniętego na budowę kościoła, ale bądźco bądź zmniejsza się on stopniowo, tak, że w przeciągu lat pięciu całkowicie uiszczonym zostanie. Kościół kosztuje 3000 funtów sterlingów, dom zaś misyjny i szkoła z klasztorem po 1000 funtów sterlingów.

¹⁾ List ten nie doszedł rąk naszych.

Kooringa stanowi jakby środkowy punkt apostołskiej działalności, z którego co parę tygodni wyruszają misyjonarze dla zwiedzenia podrzędniejszych posterunków misyjnych. Jednym z tych posterunków jest stacya pod wezwaniem św. Aniołów Stróżów, odległa o 12 mil w kierunku południowym i tymczasowo mojej powierzona pieczy.

Najgorliwszym z mych poprzedników był O. Rogalski, któremu missya ta zawdzięcza bardzo wiele, i którego dzieło ja dalej mam prowadzić. Obecnie O. Rogalski z właściwą sobie gorliwością i poświęceniem zaopatruje duchowne potrzeby rodaków swych w Sevenhillu i jego okolicach. Atoli ilość Polaków coraz tam bardziej się zmniejsza, ponieważ wielu z nich przenosi się na północ, gdzie grunta również są żyzne jak tutaj, ale daleko tańsze.

Jak w okolicach Sevenhillu, tak też prawdopodobnie i w innych zakątkach kraju, każda rodzina musi mieć przynajmniej 600 do 700 akrów, aby móżdż przyzwoicie się wyżywić. Tu i owdzie można nawet napotkać puste i osamotnione domy, których właściciele z powodu braku dostatecznej ilości gruntów, musieli wyemigrować na północ, aby tam nowe założyć osady.

Polacy tutejsi przywiązani są niezmiennie do ojczystego języka, ale w każdym razie muszą sobie przyswoić i język angielski, jeżeli pragną jakikolwiek znaleźć zarobek. Z tego też względu O. Rogalski wykłada polskiej diatwie katechizm w języku angielskim.

W przeciągu całego miesiąca października codziennie w kościółku sevenhillskim zbierało się od 25 do 30 Polaków na nabożeństwo majowe. O. Rogalski wygłaszał dla nich kazanie po polsku, poczem rozlegały się polskie śpiewy na cześć Najśw. Panny. Zdawało mi się wtedy, że wróciły znowu szczęśliwe te czasy, gdym słyszał także same melodye, śpiewane z taką pobożnością i zapałem w naszej świątyni w Starej Wsi.

O. Strele bawi również w Sevenhillu, ale niestety, stan jego zdrowia nie polepsza się wcale, tak, że biedny człowiek nie będzie mógł już pracować po dawnemu. Co do mnie, to zdrowy tutejszy klimat, zbawienny wpływ na mnie wywiera, tak dalece, że chociaż przed przybyciem tutaj dokuczliwa febra wyczerpała me siły, teraz jednak zupełnie dobrze się czuję. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł jeszcze wrócić na północ, chociaż w każdej chwili jestem gotów do tej podróży. Niech się więc we wszystkim spełnia wola Boża!

IX.

Kooringa w południowej Australii
dnia 31 stycznia 1893 r.

Tym razem chcę Waszej Przewielebności opowiedzieć kilkanaście słów, w jaki sposób my misyjonarze odbywamy podróże. W drugiej połowie czerwca otrzymałem w Palmerstonie od O. Przełożonego list, w którym

mi donosił, że wszyscy nasi misyjonarze i zakonnice ze stacyi misyjnej nad Daly-River zachorowali niebezpiecznie na influencję. Należało więc niezwłocznie puścić się w podróż, aby móżdż przynieść chorym współbraciom jakąkolwiek ulgę i pomoc.

Pierwsze 160 kilometrów przebyłem niemal nieopstrzeżenie koleją żelazną, która z szybkością błyskawicy unosiła mnie przez puste, jałowe obszary, albo gęste lasy. Za przybyciem na stacyę Howley-River dowiedziałem się, że jeszcze około 130 kilometrów dzieli mnie od celu podróży. Spodziewałem się znaleźć na tej stacyi parę koni lub przynajmniej kilku krajowców, którzyby mi służyli za przewodników i nieśli moje pakunki. Jednakowoż ta nadzieja zupełnie mnie zawiodła. Wreszcie ujrzałem w oddali jakiegoś krajowca, jadącego konno, który zdaleka witał mnie przyjaźnie, dotarłszy zaś do mnie, bardziej gestami, niżeli słowami, dał mi do zrozumienia, że powinienem sięść na jego konia, on zaś zaprowadzi mnie do swego pana, mieszkającego o ośm kilometrów od stacyi.

Ponieważ fizyognomia i całe zachowanie się młodzieńca pozwalały się domyśleć, iż ma on jak najlepsze względem mnie zamiary, dosiadłem więc jego rumaka, chłopak zaś wziął na plecy cały mój pakunek i wesoło wyruszył naprzód.

Po godzinnej podróży zatrzymaliśmy się w cieniu rozłożystego drzewa, ja zaś zsiadłszy z konia, wy dobyłem kawał chleba, który miał służyć za cały nasz obiad i podzieliłem się nim z moim towarzyszem. Niestety, dokoła na znacznej przestrzeni nie było ani kropli wody. Na wety dałem pocziwemu swemu *cicerone* trochę tytoniu i przypatrywałem się, z jaką radością biedny chłopak napełnił nim krótką fajeczkę, poczem zaczął puszczać w powietrze niebieskie obłoczki dymu. Po krótkim wypoczynku odezwałem się do mego towarzysza, że ponieważ musi już być zmęczony, niech więc siądzie na koń, ja zaś pójdę pieszo. Pocziwy chłopiec spojrzał na mnie ze zdziwieniem, a po chwili zawołał:

— Widzę, że jesteś dobrym człowiekiem, jeżeli więc mój pan na to pozwoli, to odprowadzę cię aż do twego domu. To mówiąc podniósł z ziemi mój tłomoczek i rażno w dalszą puścił się drogę.

Około godziny 5 południu dotarliśmy do mieszkania jego pana, zamożnego Anglika protestanta, trudniącego się tutaj eksploatacją jakichś kopalń. Gospodarz, chociaż protestant, ofiarował mi serdeczną gościnność w swym domu i przyrzekł pożyczyć dwa konie, jeżeli tylko się uda schwycić je na pastwisku, gdzie swobodnie się pasą.

W przeciągu dni paru musiałem korzystać z uprzejmości tego pana, aż wreszcie znalazłem jakiegoś krajowca, który wraz ze swym dwunastoletnim synem zgodził się mi towarzyszyć. Około godziny 4 popołudniu wyruszyliśmy w drogę i o zachodzie słońca przybyliśmy

do opuszczonego już oddawna biura zaniedbanej kopalni cyny. Budynek ten miał na nocleg udzielić nam schronienia. Niebawem krajowcy przynieśli wody, rozniecili ogień, ugotowali herbatę i upiekli w popiele placek, który wybornie mi smakował.

Ja ze swej strony wydobyłem pudełko z konserwowanym mięsem i rozdzieliłem porcje przeznaczone na wieczrę. Teraz nasunęło się pytanie, gdzie będziemy spali, dom bowiem był zamknięty. Wreszcie spostrzegłem jakieś drzwi szklane ze stłuczonymi szybami. Otwór ten był dość szeroki, tak, że młodszy mój towarzysz przedarł się przezeń do wnętrza i otworzył nam drzwi wchodowe. Natychmiast rozpostarłem na podłodze kołdrę i urządziwszy w tak łatwy sposób poślanie, chciałem właśnie zamknąć drzwi, gdy starszy krajowiec zauważył, że drzwi powinny zostać otwarte, abyśmy najłżejszy szelest łatwiej mogli usłyszeć. Bał się on widocznie napaści ze strony swoich ziomków z nieprzyjawnego plemienia, gdyż prosił mnie nawet, ażebym położył przy sobie nabity rewolwer. Noc atoli upłynęła spokojnie, gdy zaś zaczęło już świtać, towarzysze moi zażądali herbaty, cukru i zapalek dla rozniecenia ogniska i przyrządzenia śniadania.

W przeciągu półgodziny wszystko już zostało ugotowane i spożyte, poczem niezwłocznie podążyliśmy dalej i po upływie półtorej godziny dotarliśmy do jakiegoś strumyka. Tam zaspokoiliśmy pragnienie, o ile tylko się dało, gdyż dopiero po przebyciu 20 kilometrów, mieliśmy znowu napotkać wodę. Około godziny i popołudniu znaleźliśmy rzeczywiście niewielką kałużę, w pobliżu której rozpostarłem kołdrę, ażeby trochę wypocząć, podczas gdy moi dwaj towarzysze zajęli się przyrządzeniem obiadu.

W godzinę później dałem hasło do wymarszu. Najbliższym celem naszej podróży był opuszczony dom, od którego dzieliło nas jeszcze 15 kilometrów drogi.

Przestrzeń tę przebyliśmy w przeciągu trzech godzin i o piątej popołudniu stanęliśmy u celu. Uprzątnąwszy nieco pokój, w którym noc miałem przepędzić, zacząłem odmawiać brewiarz i jeszcze przed zachodem słońca ukończyłem to nabożeństwo.

Tymczasem moi ludzie w sąsiednim pokoju rozniecili ognisko i położyli się przy nim, aby się zabezpieczyć od nocnego chłodu. Spodziewałem się, że w tej miejscowości napotkamy przynajmniej kilku innych dzikich, lub że dym z naszego obozowiska zwabi ich do nas, rachuba ta jednak zupełnie okazała się mylną.

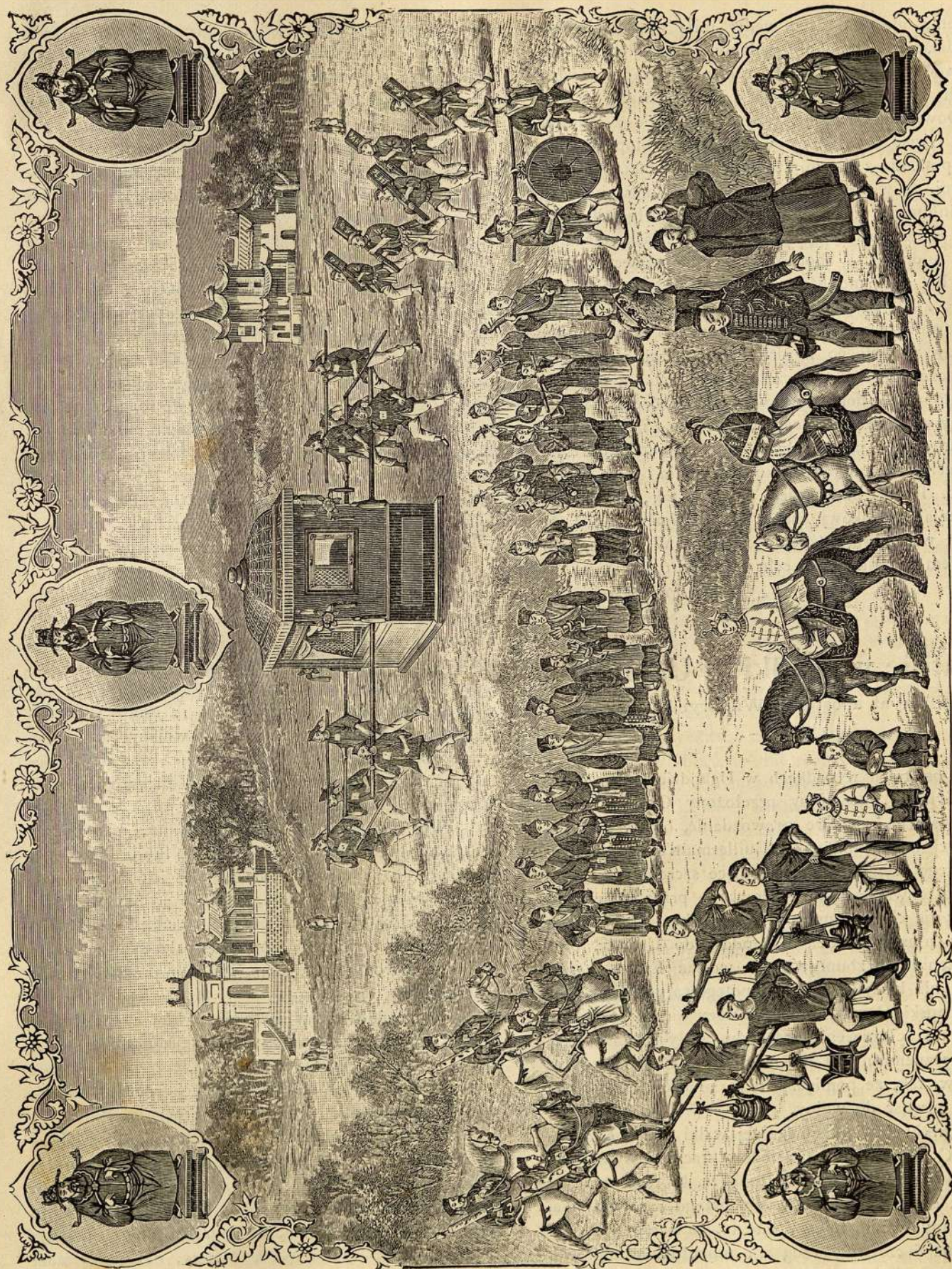
Nazajutrz rano dwaj moi ludzie oświadczyli stanowczo, że nie mogą dalej mi towarzyszyć, ponieważ tu właśnie kończy się terytorium ich plemienia, na cudzym zaś gruncie będą musieli co chwila obawiać się napaści. Opisali mi więc dokładnie całą drogę, jaką miałem jeszcze do przebycia, wraz ze wszystkimi miejscami, w których mógłbym znaleźć wodę; ponieważ zaś nie zdołałem ich nakłonić do dalszej podróży, obdarzywszy więc pewną ilość mąki, herbaty, cukru, mięsa i tytoniu, pozwoliłem wrócić do domu. Potem zrewidowałem starannie cały swój pakunek i zabrawszy to tylko, co niezbędnem było na pozostałe dni parę podróży, resztę swych rzeczy zostawiłem w domu stojącym pustkami i jeszcze przed wschodem słońca w dalszy



Męczennicy chińscy zakonu kaznodziejskiego. (Zob. str. 173 i nast.).

wybrałem się pochód. Po trzech godzinach drogi miałem dotrzeć do miejsca, gdzie się znajdowała woda. Rzeczywiście znalazłem tam bagnisko i położywszy na ziemi swój tłomoczek, wyłobiłem w gruncie niewielką wklęsłość, do której niebawem napłynęła woda. Potem zebrałem trochę chrustu, rozniecilem ogień, oraz w niewielkim blaszanym naczyniu ugotowałem herbatę.

Po tem śniadaniu rażniej niż poprzednio puściłem się w drogę przez samotne i pęsepne obszary. Dopiero po upływie pięciu godzin miałem dotrzeć do najbliższego



Chiny. — Wielka procesja pokutnicza w Szang-Haju; podług rysunku przysłanego przez O. Ranary.

Na czterech rogach i w środku u góry pięć bóstw. — 1. Wielka lektyka bożka. — 2. Grupa niosących odznaki. — 3. Wielki *tam-tam*. — 4. Grupa muzyków. — 5. Grupa pokutników. — 6. Grupa pokutujących kupców. — 7. Grupa pokutników niosących kadzielnice. — 8. Grupa pokutujących dzieci.

(Zob. »Wiadomości bieżące« i *Missye katolickie* z r. 1893, art.: Szang-Haj).

strumienia, ale tym razem nader miła oczekiwała mnie niespodzianka. Oto około godziny 11 ujrzałem w oddali dwóch jeźdźców, w których poznałem niebawem naszych wychowanców Karola i Wawrzyńca.

Dowiedziawszy się o mym wyjeździe z Palmerstonu, Ojciec Przełożony wysłał tych chłopaków na moje spotkanie z listami i zapasami żywności. Opowiedzieli mi, że wszyscy krajowcy w naszej misyi chorzy są na influencję, z której kilku nawet umarło, kilku zaś innych umrze lada chwilę. Ojcowie i Bracia także są chorzy — dodali — chociaż nie tak niebezpiecznie, my więc tylko dwaj mogliśmy, Ojczy, wyjechać po ciebie.

Po kilku chwilach rozmowy wyruszyłem z młodymi towarzyszami do miejsca ostatniego mego popasu i wysławszy jednego z nich, aby zabrał me rzeczy z opuszczonego domu, zacząłem się krzątać z pozostałym chłopakiem dokoła ogniska, przy którym przyrzadzaliśmy wieczerzę. W nocy uciekł jeden z naszych koni i nazajutrz rano przekonaliśmy się ze smutkiem, że na nas trzech jeźdźców były tylko dwa siodła i jeden wierzchowiec. Rozdzieliłem więc pakunki tak, aby każdy z nas miał jednakowy ciężar do dźwigania i co pół godziny wsiadaliśmy kolejno na koń. W taki sposób przybyłem szczęśliwie do celu mej podróży.

(Dok. nast.).

Ostatnie wypadki w Ugandzie.

(Wikaryat apostolski Wiktoryi Nyanzy).

O ostatnich wypadkach w Ugandzie kreśli X. biskup Livinhac, generalny przełożony Ojców Białych nader obszerne i ciekawe sprawozdanie, oparte w znacznej części na dzienniku O. Guillermain'a. Ze sprawozdania tego wyjmujemy następujące szczegóły:

Od chwili zajęcia krajowców przez Anglików, szerzyły się ciągle zamieszki i rozruchy, które po odwołaniu mużulmańskich Bagandów do Ugandy, oraz przyłączeniu się zbuntowanego wojska Emina baszy, bardziej niż kiedykolwiek się spotęgowały. Fanatyczne mużulmańskie hordy, przyczyniwszy się w znacznym stopniu do uciemnienia katolików, stały się niebawem niebezpiecznymi nawet dla Anglików i Bagandów protestantów, tak, że pomiędzy nimi prędzej lub później musiało przyjść do wojny.

O wybuchu i przebiegu tej walki pisze nader dokładnie O. Guillermain, przełożony stacyi misyjnej pod wezwaniem Najsw. Panny w Rubadze, którego obszerny dziennik służy za podstawę niniejszego sprawozdania. Znajdujemy w nim między innemi, co następuje:

Dnia 6 czerwca (1893 r.), mużulmanie odmówili stanowczo opłaty podatku, jaki królowie Ugandy od

niepamiętnych niemal czasów pobierali od swych podwładnych. Wówczas kapitan Macdonald przedstawił im następującą alternatywę: albo mają spełnić niezwłocznie swe obowiązki jako obywatele kraju, albo natychmiast opuścić Ugandę.

Dnia 11 czerwca kapitan wysłał do misyi katolickiej oddział nubijskich żołnierzy, proponując misyonarzom, aby na czas pewien przenieśli się do twierdzy, gdyż lada chwilę w całym kraju mogą wybuchnąć rozruchy. Atoli misyonarze mieli, że twierdza nie przedstawia dla nich również żadnej rękojmi bezpieczeństwa, gdyż dowódca nubijskich żołnierzy, Selim-bej, zbuntowałby się raczej przeciw Anglikom, niżby się dał nakłonić do walki ze swymi współwyznawcami.

Niebawem też rozeszła się pogłoska, że Nubijczycy przysięgli na koran wypowiedzieć posłuszeństwo białym, jeżeliby ci ostatni chcieli ich zmusić do rozpoczęcia nieprzyjacielskich kroków przeciw Bagandom mużulmanom. Najbardziej nawet przychylnie usposobieni mahometanie wahali się stanąć otwarcie po stronie Anglików, mówiąc, że wiara im zabrania iść ręką w rękę z niewiernymi. W taki sposób wzajemna niechęć i nienawiść z obu stron, codzień niemal bardziej się rozjatrzała.

Wreszcie dnia 17 czerwca kapitan Macdonald postanowił wystąpić energicznie przeciw Silim bejowi, aby uniknąć przez to losu Emina baszy. Pierwszem jego staraniem było zaprosić do twierdzy katolickich i protestanckich misyonarzy, przez co ilość białych w powierzonej mu warowni wzrosła do 12 osób. Wówczas kapitan postanowił wystawić buntowników na próbę, w razie zaś odmówienia przez nich posłuszeństwa, zamierzał użyć salw działowych, jako najbardziej przekonującego argumentu.

Otrzymawszy zaproszenie kapitana, misyonarze spakowali swe tłomoki, przystąpili do Stołu Pańskiego, zrezygnowali na wszystko, co spotkać ich mogło i odważnie wyruszyli w drogę. Wkrótce po ich przybyciu kapitan wydał rozkaz, aby wojsko nubijskie ustawiło się w szeregi u podnóża góry Kampala, sam zaś ukrył się po za ogromnem działem, stojącym przy wejściu do twierdzy.

Po niejakim czasie do Nubijczyków wyszedł podoficer, aby im zadać stanowcze pytanie, czy chcą nadal słuchać białych, czy też Selima-beja.

— Kto stoi po stronie białych — dodał — niech przejdzie na lewo.

Wszyscy natychmiast spełnili ten rozkaz, jak gdyby się domyślali, co w przeciwnym razie ich oczekiwało. Wówczas kapitan kazał główniejszym mużulmańskim wodzom zebrać się w twierdzy Kampali, gdy zaś to uczynili, powiedziano im, że muszą pozostać dopóty, dopóki kapitan nie wróci z Matety, dokąd się udał z dziesięciu swymi ludźmi. Mateta był to obóz mużul-

mański, w którym przez cały ten dzień rozlegał się odgłos wojennego bębna.

Po jakimś czasie Macdonald przybył rzeczywiście z kilkoma mużłmańskimi wodzami, po powrocie zaś jego misjonarze katolicki wyruszyli do domu. Była to szósta godzina wieczorem. W misyi oczekiwała Ojców liczna gromada katolików, podążających do stolicy. Ponieważ jednak stosownie do umowy z Anglikami musieli oni broń zostawić w domu, w stolicy więc na nic nie mogliby się przydać, gdy tymczasem rozjątrzeni mużłmanie skorzystaliby niechybnie z ich nieobecności w Buddu, niszcząc ogniem i mieczem nieszczęśliwą tę prowincję. Dlatego misjonarze radzili swym neofitom zaniechać zamiaru udania się do stolicy, sami zaś zabrawszy ze sobą wszystko co mieli najdroższego, opuścili również stację misyjną, aby gdzieindziej szukać schronienia. W misyi pozostali tylko dwaj młodzieńcy, którym Ojcowie polecili w razie napaści nieprzyjaciela natychmiast ratować się ucieczką. Obaj ci młodzieńcy mieli czuwać nad porządkiem i bezpieczeństwem stacji misyjnej, a zarazem wręczyć kapitanowi list, w którym misjonarze wyłuszczyli obszernie przyczyny swego wyjazdu.

Dnia 17 czerwca o godzinie 11 wieczorem karawana misyjna przy świetle księżyca puściła się w drogę, o godzinie 5 zaś rano zatrzymała się w pewnym protestanckim domu dla krótkiego wypoczynku. Około południa misjonarze przebywszy śliczny las palmowy, stanęli na katolickim terytorium w prowincji Kaimie. Tutaj uchwalili zaczekać aż do końca wojny w miejscowości, zwanej Kyalo de Kikondo, a zostającej pod kierunkiem katolickiego wodza Gabryela Miazzi.

Nazajutrz rano nadszedł list od kapitań Macdonalda, w którym donosił misjonarzom o wszystkim co się działo w stolicy. Najważniejszym wypadkiem było rozbicie mużłmanów przez energicznego kapitań, który powtórnie wezwawszy ich do twierdzy, kazał złożyć broń, wskazując wymownym gestem otwór olbrzymiego działu. Rozbrojeni buntownicy złagodnieli jak baranki i spokojnie rozeszli się do domów, wkrótce zaś kapitań wydał rozkaz, aby wszyscy bez wyjątku mużłmanie, przebywający chwilowo w stolicy, wyruszyli z powrotem do swoich prowincyj. I ten rozkaz został spełniony, gdyż mużłmanie wybrali się niezwłocznie w kierunku Matele, gdzie współwyznawcy ich również przygotowywali się do drogi.

Wprzód jednak niż dotrzeć tam zdołali, zostali napadnięci przez pewnego protestanckiego wodza, który pragnął wydrzeć im przemocą znaczną ilość rozmaitych tkanin i kości słoniowej. Wywiązała się więc bitwa, w której inni protestanci, a nawet podwładni katolickiego wodza Gabryela Miazzi, także wzięli udział. Po krótkim oporze mużłmanie poszli w rozsypkę, wódz zaś ich poległ, ale i protestanci stracili w tej potyczce

kilku najlepszych wodzów. Zwycięzeni mahometanie uciekli jak najszybciej do swoich prowincyj.

Nazajutrz rano przybyli do Buddu katolicki wodzowie Gabryel i Stanisław, w celu zorganizowania tam siły zbrojnej, zdolnej odeprzeć mużłmanów, których napaści i okropnej zemsty lada chwilę należało się spodziewać.

Dowiedziawszy się o tem, misjonarze wyruszyli z powrotem do stolicy, w drodze zaś spotkali niespodzianie kapitań Macdonalda, który z silnym oddziałem wojska i armatą polową podążał do twierdzy Ntebe, aby się tam porozumieć ostatecznie z dowódcą nubijskich żołnierzy, Selimem bejem. Macdonald prosił usilnie misjonarzy, aby się udali do Kampali, gdzie Ojcowie nasi znaleźli również i protestanckich pastorów.

Ponieważ zaś w nocy na straży musieli stać biali, gdyż niepodobna było rachować na czujność i sumienność Wanguanów, przyjętych na miejscu Nubijczyków, Ojcowie więc ofiarowali także w tej mierze swoje usługi, pełniąc kolejno obowiązek wybornych stróżów nocnych.

Niebawem nadeszły wieści z Ntebe, gdzie kapitań Macdonald, dzięki obawie, jaką w krajowcach budziło jego działo, wymógł na nich wszystko, czego tylko pragnął. Selim bej oskarżony o bunt i zdradę stanu, został stawiony przed sądem wojennym, który go skazał na usunięcie z urzędu, oraz wygnanie na pewną wyspę w pośrodku jeziora Nyanzy. Wkrótce skazany udał się z żoną i dwoma służącymi na miejsce swego przeznaczenia, misjonarze zaś, spędziwszy całą dobę w twierdzy, wrócili do swej misyi.

Dnia 25 czerwca kapitań Macdonald przybył do stolicy i natychmiast wysłał rozkaz do katolickich wodzów w Buddu, aby niezwłocznie natarli na mużłmanów, obiecując ze swej strony wyruszyć wraz z protestantami przeciw wspólnemu wrogowi. Jednocześnie prosił misjonarzy, by zechcieli użyć swego wpływu, jakim się cieszą u katolickiej ludności i nakłonili ją do walki ze zbuntowanymi mużłmańskimi hordami. Trudna i niebezpieczna ta wyprawa zupełnie się udała.

Mużłmanie ścigani przez chrześcijańskie wojsko, uciekli aż do twierdzy angielskiej, leżącej na granicy prowincji Tolu. Major tamtejszy zawiązał z nimi negocjacje i skłonił zbiegów do pozostania na miejscu, zaręczając, że im najmniej nie grozi niebezpieczeństwo. Tymczasem z drugiej strony dał znać chrześcijańskiemu wojsku o tem, gdzie mają szukać uciekających mużłmanów i naglił je do pospiechu, gdyż jak twierdził, druga pomyślna sposobność nie rychło może się zdarzyć.

Nie będziemy się zastanawiali nad moralną wartością tego wojennego podstępu, którym niestety biali nader często względem krajowców się posługują. Większa część mużłmanów, nie wyłączając kobiet i dzieci, ujrawszy nadciągających chrześcijan, chciała ratować

się ucieczką i podczas przeprawy przez rzekę znalazła śmierć w jej nurtach, reszta poddała się dobrowolnie i wraz ze zwycięzcami wróciła do Ugandy, poczem zarówno katolicy jak protestanci rozeszli się do domów.

Nie wiedząc co począć z tylu jeńcami, Macdonald zasięgnął w tej mierze rady protestanckich pastorów, którzy mu przedewszystkiem polecieli rozbroić schwytanych Bagandów. Natychmiast więc odebrano im broń złożoną z 200 strzelb, poczem rozkazano pozostać w Ugandzie i Buddu, oraz zarabiać pracą na swe utrzymanie. W taki sposób dostała prowincja Buddu wielu nieproszonych gości, po większej części dawnych wodzów lub wojowników, którzy zamiast myśleć o pracy, wolą żyć cudzym kosztem z rabunków i kradzieży.

Zdawaćby się mogło, że dzięki usługom oddanym przez katolików podczas wojny ze wspólnym wrogiem, położenie ich i stosunki z protestancką ludnością znacznie się polepszą. Niestety, w rzeczywistości, jak to widać ze sprawozdań O. Guillermain'a, rzecz ma się wręcz odwrócić, gdyż zwycięstwo zostało wyzyskane na niekorzyść biednych katolików. Oto co O. Guillermain zaznacza w tej mierze:

Podług ostatniej umowy, protestanci nie mają prawa usunąć z urzędu żadnego katolickiego wodza z powodu wyznawanej przez niego religii. W ostatnich atoli czasach wódz Miazia z Manosole otrzymał dymisyę jedynie dlatego, że zamiast uczęszczać do protestanckiego domu modlitwy, chodził w każdą niedzielę i święto do kościoła Najśw. Panny w Rubadze.

Z drugiej strony angielski komisarz rządowy Sir Gerald Portal, który niestety już nie żyje, uznał kiedyś za właściwe, powiększyć nieco katolickie terytoryum i dzięki jego pośrednictwu, przyznano katolikom na własność prowincję Kaimę (Mowokota), wyspę Seze, powiat Lwekuka w prowincji Singo i powiat Szamben (Plantagę), w prowincji Mugemie (Mubuziro), aż do samej niemal stolicy. Dotychczas jednak dekret ten nie został jeszcze wprowadzony w życie, gdyż rząd protestancki coraz to nowe stawia w tej mierze przeszkody, niektórzy zaś jego przedstawiciele wyznają nawet otwarcie, że chcieliby pozbyć się katolików w takisam sposób, w jaki się mużulmanów pozbyli.

Niejednokrotnie też ludność protestancka zdradza nader brutalnie swą niezyczliwość względem katolików, lub rozsiewa o nich najniegodziwsze oszczerstwa i potwarze. O. Guillermain przytacza w tym względzie trzy nader wymowne przykłady, rzucające jaskrawe światło na obecne stosunki w Ugandzie.

Gdy król Mwanga oddany całą duszą katolikom, chciał przyjąć na swój dwór dwóch katolików i wieść o tem rozeszła się po kraju, wówczas pewien namiestnik prowincji, będący zarazem protestanckim dyakonem, napisał do niego co następuje:

»Bądź pozdrowiony, królu Mwanga! Piszę do cie-

bie, ponieważ słyszałem, że chcesz przyciągnąć do siebie Abapapów (katolików), aby ich uczynić swymi domownikami, a nawet przyjaciółmi. Pamiętaj jednak, że powinieneś przedtem porozumieć się z białymi w misyi angielskiej, i całem naszym stronnictwem, gdyż chodzi tu o rzecz nie małej wagi, której samowolnie rozstrzygnąć nie możesz. Wiedz bowiem o tem, że katolicy są niegodziwymi oszustami, którzy udając dla ciebie przyjaźń, knują już oddawna spisek na twe życie. Nie pozwalaj im przeto zbliżać się do siebie, bo Cię zamordują zdradziecko, aby po twej śmierci osadzić na tronie Ugandy twego krewnego Józefa.

Radzę ci więc, mój przyjacielu, nie przedsiębrać nic zgoła, nie porozumiewaj się poprzednio z chrześcijanami (protestantami). Pozdrawiam cię serdecznie, ja, Sekibobo. Bądź zdrow, niech cię Bóg ma w swojej opiece«.

List ten przesłał natychmiast król Mwanga katolickiemu biskupowi z zapewnieniem, że wszystkie krzywdy wyrządzone katolikom są winą protestantów, on sam bowiem niema żadnej swobody działania. Głównym atoli przedmiotem nienawiści protestanckiego stronnictwa są katolickie damy pałacowe.

»Około stu tych kobiet, pisze O. Guillermain, uczęszcza stale na lekcye katechizmu i pomimo prześladowania trwa niezłomnie w zamiarze nawrócenia się na katolicyzm. Niemal codziennie biedne katechumenki znoszą od swych prześladowców tysiące zniewag i obelg.

Gdy jedna z nich, imieniem Kyennalaba oświadczyła stanowczo, że nie chce zostać protestantką, skazano ją natychmiast na sto kijów, po wykonaniu zaś tego wyroku, wypędzono ze dworu.

Przed paru dniami widziałem po raz pierwszy tę afrykańską bohaterkę. Jestto jeszcze bardzo młoda kobieta, której wyrzeczenie się katolicyzmu zapewniłoby może długie lata dobrobytu i spokoju.

Takiejuż samemu losowi uległa w ostatnich czasach inna katechumenka, dręczona przez protestantów w najokropniejszy sposób, a wreszcie wygnana ze stolicy. Przez długi czas przedmiotem szyderstw całego królewskiego otoczenia były dwie młodziutkie dziewczynki, których atoli żadne namowy lub groźby nie zdołały skłonić do odstępstwa. Widząc, że wszelkie usiłowania w tym celu na nic się nie zdadzą, protestanci powierzyli je opiece wymienionego już przez nas Nikodema Sekibobo, namiestnika prowincji Kyage i dyakona anglikańskiego kościoła w Ugandzie. Fanatyczny ten sekciarz zamknąwszy obie dziewczynki w swoim mieszkaniu, dręczył je dopóty, dopóki nie przełamał ich oporu, gdy zaś nieszczęśliwe zgodziły się wreszcie zostać protestantkami, wówczas odesłano je na dwór królewski i wysokimi nagrodzono godnościami«.

Nietylko jednak w stolicy, ale nawet w najodleglejszych prowincjach, prześladowanie katolików jest

na porządku dziennym. Bogu dzięki jednak cała ludność katolicka, nie wyłączając kobiet a nawet dzieci, okazuje niezwykłą stałość i moc charakteru. Oto piękny i rozrzucający przykład:

Dnia 24 stycznia 1892 r., wkrótce po wybuchu wojny pomiędzy katolikami a protestantami, schroniła się do missyi w Rubadze dziesięcioletnia murzyńska dziewczynka, która niedawno temu uciekła od okrutnych swych panów.

»Były to czasy nader smutne dla naszej missyi, pisze O. Guillermain, gdyż zewsząd otaczali nas nieprzyjaciele i życie nasze wisiało niemal na włosku. W chwili największego niebezpieczeństwa X. biskup

Hirth udzielił biednemu dziewczęciu Chrztu św., poczem wraz z wielu innemi kobietami i dziećmi zabrał je ze sobą do twierdzy Kampala. Mała neofitka towarzyszyła nam wiernie aż na wyspę Bulinguge, tam jednak po okropnej rzezi, jaka się odbyła dnia 30 stycznia, nieprzyjaciele wraz z wielu innemi kobietami schwytali ją w niewolę i odprowadzili do stolicy. Biedna murzynka dostała się jako niewolnica do domu pewnego protestanta. który ją trzymał w zamknięciu, tak, że nie mając żadnych wieści ze świata, sądziła już, iż wszyscy Ojcowie zostali wymordowani i bardzo się tem martwiła. Chociaż o religii katolickiej nie miała jeszcze wówczas dokładnego pojęcia, była jednak głęboko prze-



Afryka. — Kongijczycy przy nauce katechizmu; podług fotografii. (Zob. str. 191).

konana, że przyjęcie na łono katolickiego Kościoła, postawiło pomiędzy nią a nowym jej panem nieprzełamaną zaporę. Dlatego też ani obelgi, ani nawet dotkliwie razy nie zdołały skłonić młodej wyznawczynie do zostania protestantką.

Widząc wreszcie, że w ten sposób nie potrafi przełamać jej oporu, i że niewolnica nie zamieszka skorzysta z pierwszej sposobności, aby uciec z jego domu, okrutny pan wysłał ją na pogranicze Unyoro, gdzie miał niewielką posiadłość i gdzie nieszczęśliwa murzynka nie mogła już myśleć o ucieczce.

Po niejakiem czasie dziewczę pogodziło się ze swym losem i zaczęło pracować na plantacjach bananowych z wielu innemi niewolnicami, które jako protestantki dokuczały jej ciągle za to, że nie chciała brać udziału w ich wspólnych modlitwach.

Dotychczas jeszcze biedne dziecię zapamiętało niektóre słyszane wówczas przezwiska, jak naprzykład *mpapa* (papistka), *mamedali* (czcicielka medalików) itp., a chociaż nie rozumiała z początku ich znaczenia, domyślała się jednak, iż wyrządzają one ujmę wyznawanej przez nią religii.

Okropna ta niewola trwała przez 15 miesięcy, aż wreszcie Pan Bóg zlitował się nad małą wyznawczynią, którą napróżno zapomocą bicia starano się zmusić do odstępstwa. Wówczas właśnie umarła w stolicy stara niewolnica, pod której opieką znajdowała się plantacya bananów Mengo i pan dowiedziawszy się o tem, wyruszył tam natychmiast z naszą katoliczką.

Nazajutrz po przybyciu do stolicy biedne dziecię uciekło i ukryło się w krzakach, z kąd się przyglądało pilnie wszystkim przechodniom, spodziewając się, że na

piersiach któregośkolwiek z nich spostrzeże krzyżyk lub medalik. Wreszcie pewnego wieczora dotarło niepostrzeżenie aż do podnóża góry Rjuba, tam zaś ujrzało kobietę, na której piersiach wiśla różanec. Z radosnym okrzykiem mała murzynka rzuciła się ku niej, wołając: »Ja także jestem katoliczką, a nawet zostałam ochrzczone! Powiedz mi, czy przybyli jacy nowi Ojcowie, aby zastąpić tych, których zamordowano na wyspie Balingue?« Naturalnie chrześcijanka zabrała ze sobą dziewczynkę i przyprowadziła ją do missyi, gdzie pocziwe dziecko ujrawszy nas znowu, rozplakało się z radości. Po krótkim wypoczynku w stacyi missyjnej mała nasza neofitka została umieszczona w domu pewnej katolickiej rodziny, która ją jak najtroskliwszą otoczyła opieką.

Na tem się kończą wieści otrzymane przez nas z Ugandy. Jak widzimy, w nieszczęśliwym tym kraju porządek nie został dotąd przywrócony, biedni zaś katolicy nie mogą jeszcze się cieszyć zupełnem bezpieczeństwem i spokojem.

DALMACYA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

(Ciąg dalszy).

IX.

Sinj.

Droga do Sinja 34 kilometrów długości, prowadzi nad brzegiem już nie Kerki lecz Cetyny, drugiej sławnej rzeki dalmatyńskiej, drugiego Nilu, użyzniającego równiny położone u podnóża Dynar.

Okolice tutejsza, jak wszędzie w środkowej Dalmacyi, prześliczna, coraz to nowe obrazy stają przed oczyma; spotykamy najrozmaitsze malownicze typy mężczyzn rosnących w czerwonych turbanach o rycerskiem acz łagodnem spojrzeniu, niewiasty w długich niebieskich sukmanach bez rękawów, z przodu otwartych, dla pokazania szkarłatnego fartucha, białej wyszywanej koszuli i wiszących u szyi kilku sznurków koralu, lub lśniących paciorek. Jedne trzymają kądziel w ręku i przędą wełnę po drodze, inne różanec i po prostu odmawiają pacierze.

Przejeżdżamy około Dragoviću, starego monasteru mnichów greckiego wyznania, żyją jak pustelnicy, lecz majątni pustelnicy, bo opływają w dochody z rozległych gruntów klasztornych; czem się zajmują, jak żyją, różne chodzą pogłoski.

Po paru godzinach drogi otwiera się przed nami szerokie *Sinjsko-polje*, a na jego wstępie nieco na uboczu, przy pasmie wzgórz, schludne miasteczko Sinj. Zaraz na pierwszy rzut oka dobre robi wrażenie porządkiem i pięknnością domów, nieraz i wielkich trzechpiętrowych

kamienic. Bo też jest tu 3000 mieszkańców katolików, dwie osoby greckiego wyznania i ani jednego żyda.

W miejscu najbardziej okazałym wznosi się klasztor OO. Bernardynów i przyległy doń piękny kościół w stylu romańskim. Zabudowania klasztorne są rozległe, największe w całej prowincyi tego zakonu; stosunkowo dużo osób tu mieszka: 15 kapłanów i 2 kleryków, wszyscy są profesorami lub dozorcami w gimnazjum sześcioklasowem i internacie dla kilkudziesięciu chłopców.

W zakładzie urządzenie sypialni i muzeów jest bardzo pojedyncze, zastosowane do skromnych wymagań uczniów, rekrutujących się po większej części z biednej ludności. Opłata jaką dają i to nie wszyscy, jest tak niska, że nie wystarczałaby zupeł-

nie na utrzymanie chłopców, gdyby zakonnicy własnymi funduszami nie uzupełniali braki. Za to klasy nic nie pozostawiają do życzenia pod względem urządzenia, rozmiarów, obfitości światła. Znajduje się tu także gabinet fizyczny i zoologiczny, jak na Sinj wcale okazały, nawet muzeum starożytności. Istne to muzeum. Wszystko nagromadzone razem: piękny zbiór numizmatyczny, po większej

części z epoki rzymskiej, kamey, łzawnice, penaty, rozmaite narzędzia wojenne i do użytku domowego, mnóstwo innych drobiazgów obok marmurowych tablic z łacińskimi napisami, kawałków rzeźb, wśród których szczególniejszą moją uwagę zwróciła piękna z marmuru głowa Apollina, Herkulesa czy też Kaliguli, nie wiadomo, w każdym razie arcydzieło starożytności, mogące rywalizować z Apollinem belwederskim watykańskiego muzeum.

To co się nie zmieściło, lub nie mogło być umieszczone w muzealnych salach, tymczasem znajduje się na dziedzińcu klasztornym. Artysta i architekt znajdzie tam piękne okazy marmurowych kolumn, kapiteli korynckich, a że nie w symetrii poukładane, lecz rozrzucone, dodaje malowniczości zabudowaniom klasztornym.

Okolice Sinja, to jeden olbrzymi ogród. W piękności nie tylko nie ustępuje widokom Kninu lub Wrliki.



Mieszkanka miasta Sinja.

ale może jeszcze przewyższa. Ze starych zabytków kroackich pozostałe ruiny wieży zamkowej, dominującej na skale nad miastem, przypominają potomności smutne dzieje tutejszej przeszłości, lecz zarazem i wiele bardzo miłych epizodów bohaterstwa sinjskich mieszkańców i ich Ojców duchownych XX. Bernardynów.

Jak ongi Częstochowa oblężona przez Szwedów była świadkiem cudów Bogarodzicy, tak i gród sinjski wśród walk z potęgą turecką, niejednokrotnie doznawał opieki Matki Najświętszej. Tu także, jak nasz Paulin Kordecki, tak O. Wučković na wałach miasta bronił wstępu pohanom, nie z orężem w dłoni, lecz Panem Zastępów, ukrytym w Najświętszej Hostyi.

Cudowny obraz Matki Boskiej znajduje się w klasztornym kościele, otaczany czcią przez ludność dalmatyńską, a obraz przedstawiający O. Wučkovića z monstrancyą w ręku, przechowują zakonnicy jako drogą pamiątkę w jednej ze sal swej biblioteki.

Ze Sinja do Spalato droga prowadzi znanym traktem na Klisę, ową sławną twierdzę w dziejach tutejszych, tylekrotnie obleganą i zdoby-



Mieszkaniec miasta Sinja.

waną przez książąt kroackich, królów węgierskich, Rzeczpospolitą wenecką, przez hordy tureckie.

Panorama kilka kilometrów za Sinjem zupełnie się zmieniła. Ukazały się znowu skaliste wzgórza, a w dolinach, jak oazy na puszczy, tak grunta uprawne na kamienistym terenie. Znać że się do wybrzeży zbliżamy. Czuć to także w atmosferze, bo morze już niedaleko. Dojeżdżamy do Klissy. Jakżeż żałowałem, że nie mogłem zdjąć fotografii z tej imponującej, acz nie wielkiej twierdzy. Wznosi się na odosobnionym pagórku i panuje nad całą okolicą. W dali widać jak na dłoni Spalato, kąpiące się w morzu, Trogir niknący w tym widnokręgu, lecz przede wszystkim olśniewa oko lazrowe tło Adryatyku, tak zawsze piękne, zwłaszcza wśród pogody i drgania złotych światła promieni.

Kraj ten tak uroczy, tak dziś spokojny, zdaje się, że był stworzony tylko na to, aby w pracy i bogomyślności

dawnych mnichów egipskich, żyjących kiedyś na jego wybrzeżach, wielbić Boga i podziwiać cuda Jego wszechmocy. A jednak jakżeż niedawno słyhać tu było tylko szczęk oręza, płacze wdów, sierót i nieszczęśliwych od nich branek, pędzonych w jassyr, potem do haremów... Oko się błąkało po czerwonych plamach jeszcze niezaschłej krwi ludzkiej, po zgłiszczach domów Bożych, ruinach wiosek i miast!

Właśnie okolice któreśmy poznali, mianowicie: Derniszu, Kninu, Wrliki i Sinja, z całej Dalmacyi najbardziej ucierpiał, lecz zarazem były polem heroicznych cnót apostołskiej pracy OO. Bernardynów, prawie jedynych wówczas pasterzy, dlatego i o niej wypada nam słowo powiedzieć.

X.

Prace OO. Bernardynów podczas najazdów tureckich.

Podczas wizyt Bernardyńskich klasztorów w Kninie, Wrlice i Sinju, tyle się nasłuchałem opowiadań o pracach podjętych w Dalmacyi przez OO. Bernardynów i wogóle zakonników św. Franciszka z Assyżu, że okazałbym się nie tylko względem nich niewdzięcznym, ale nawet nie podałbym wiernego obrazu stosunków tutejszej chrześcijańskiej ludności, gdybym pominął milczeniem nieocenione zasługi tych zakonników w podtrzymaniu wiary św. w Dalmacyi. To też odśrońmy nieco zasłonę przeszłości i przypatrzmy się, co nam tradycja ustna i pomniki pisemne w tym względzie podają.

Św. Bonawentura w żywocie św. Franciszka z Assyżu, wspomina, że około r. 1212 wybrał się Święty fundator na najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą misję na Wschodzie, pomiędzy fanatycznych Turków i miał zamiar następnie dotrzeć aż do namiotów sułtana, aby mu dać poznać naukę Jezusa Chrystusa.

Na pełnem morzu, zerwała się gwałtowna burza, dalsza podróż była niemożliwa, musiał więc z okrętu wylądować na dalmatyńskich wybrzeżach.

Czy ta legenda jest prawdziwą, czy nie, trudno nam rozstrzygać, w każdym razie w początkach XIII wieku św. Franciszek założył dwa klasztory: w Raguzie i Zarze.

Działalność zakonników musiała być skuteczną, skoro już w początkach XIV wieku banowie kroaccy budowali im nowe klasztory w Dalmacyi, Bośni i dzisiejszej Kroacyi.

Gdy z końcem XV wieku Turcy zajęli Bośnię, dla zaokrąglenia świeżo podbitego kraju pragnęli zająć również Dalmacyę i więcej jeszcze: przerzucić swe hordy przez Adryatyk do Włoch, aby na bazylice św. Piotra w Rzymie zatknąć sztandar Mahometa.

W tym celu z Bośni wtargnęli najpierw do Hercegowiny, następnie na wybrzeża dzisiejszej Dalmacyi,

zwane *Primorje*, a nie znajdując skutecznego oporu, zajęli północną część tego kraju aż po rzekę Cetynę, należącą podówczas do Korony węgierskiej.

Odtąd rozpoczynają się sporadyczne napady na pobliskie wsie i miasteczka, uprowadzanie niewiast i dzieci w jassy, często mężczyzn.

W trudnem położeniu znajdowali się miejscowi proboszcze, wielu kapłanów nie miało odwagi lub nie mogło toczyć bezustannej walki z władzami mahometańskimi w obronie prześladowanych chrześcijan. Biskupi bośniaccy i dalmatyńscy, do których należały opuszczone parafie w zajętych prowincjach, powierzyli pieczę nad nimi Ojcom Bernardynom. Choć Sułtan Mehmed, który dosyć sprzyjał synom świętego Franciszka, wydał firman pozwalający im po dawnemu chwalić Boga i nauczać lud chrześcijański, to jednak nie miał wielkiego znaczenia w oczach niższych urzędników tureckich, zwłaszcza nie umiejących czytać. Każdemu zakonnikowi zwykli byli tacy potwierdzać:

»Jeden jest tylko Bóg i Mahomed Jego prorok. Jeden jest Bóg na niebie i jeden sułtan na ziemi«.

Upatrując w OO. Bernardynach i w ogóle w chrześcijanach pogwałcicieli praw koranu, wywierali na nich swą złość, dręcząc i prześladowując na każdym kroku. Wszelkie skargi i zażalenia, zanoszone przez prześladowanych do agów, begów, kadich, wezyrów, że firman zgwałcony, pozostawały bez skutku. Nic więc dziwnego, że już w pierwszej połowie XVI wieku, większa część kościołów parafialnych i klasztorów bernardyńskich, została bezkarnie zburzoną przez mahometan. Zakonnicy nie mając stałego miejsca pobytu, przenosili się z miejsca na miejsce, gdzie się kryły chrześcijańskie rodziny, spełniając apostolski swój urząd. Najczęściej przebrani za kupców z worem na plecach, mieszczącym przybory kościelne potrzebne do sprawowania Mszy świętej, chodzili od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka,

cieszyli lud biedny, zachęcali do wytrwałości w wierze, zasilali Sakramentami świętymi. Stosownie do okoliczności, raz grotą, raz mieszkanie prywatne lub pustkowie zasłonięte skałami, przykryte sklepieniem niebios, było miejscem domu Bożego i spełniania Najświętszych Tajemnic.

Z początkiem XVI wieku Rzeczpospolita wenecka strzegła tylko swych miast nadbrzeżnych i *Primorja*; nie miała bowiem jeszcze odwagi wystąpić przeciw Turcyi. Dlatego muzułmanie coraz to częściej napadali na ludność chrześcijańską, mieszkającą w głębi kraju, a następnie zupełnie opanowali Dalmację, z wyjątkiem większych weneckich miast, jak Zary, Sebenika, Spalatu.

Jakie było wówczas położenie chrześcijan, a zarazem pole prac apostolskich OO. Bernardynów w tych okolicach, przedstawia nam X. Arcybiskup spalateński Bernard Zane, w mowie wygłoszonej w Rzymie na V-tym Lateraneńskim Soborze wobec Papieża i zebranych biskupów.

»Pomijam, mówi X. Arcybiskup, wszystkie krzywdy, jakie nas już dawniej spotkały od Turków, zapewne Wam znane, zastanówcie się jednak Ojcowie nad obecnem naszym położeniem i naszych chrześcijan, z którymi muzułmanie okrutnie się obchodzą: wydzierają dzieci z rąk rodzicielskich, odrywają niemowlęta od piersi matek, bezczeszczą

żony w obecności mężów, lub wydzierają przemocą młode dziewczęta z macierzyńskich objęć, aby je oddać na wieczną hańbę. Starych rodziców jako niezdolnych do robót mordują w obecności ich dzieci, młodzież jak woły zaprzęgają w jarzma i orzą nimi ziemię... To, co wam mówię, wiem nie z czytania ani opowiadania, lecz z własnego doświadczenia, na co patrzałem własnymi oczyma. Widziałem na przedmieściach nieszczęśliwej mojej rezydencji w Spalato, jak rozjuszeni Turcy pustoszyli ogniem i mieczem wszystko, co stało im na przeszkodzie, pędzili w jassy młodzież obojga płci,



Dalmatyniec z pod granicy Czarnogóry.

moje i twoje Ojczyzny. W swoich rezydencyach widziało to samo moich dwunastu sufraganów Biskupów... Ileż to razy, gdy byłem obecny na nabożeństwie, musiałem zdjąć szaty kościelne i insygnia biskupie, a chwycić za broń, spieszyć pod bramy miasta i pocieszać strapioną ludność spalateńską lub zachęcać do walki z wrogiem łakącym naszej krwi¹⁾».

Jeżeli takie działy się sceny pod samą Klissą, twierdzą potężnej Rzeczypospolitej weneckiej, cóż mu-

siało być w nieszczęśliwym zakątku Dalmacyi, który leżał między rzeką Zermanią a Cetyną, Dynarskimi alпами i Welebiczem. Ta ziemia była posiadłością królów węgierskich. Ci zajęci wojnami domowymi, lub z sąsiednimi władcami, prawie wcale nie troszczyli się o tę najnieszczęśliwszą prowincję. Warowne miasta na próżno błagały króla Ludwika II (1516—1526) o załogę wojskową, a tymczasem Turcy włóczyli się po całym kraju, niosąc ze sobą mord i pożogę, rabując, uprawa-



Dalmacya. — Miasto Makarska. (Zob. str. 190).

dzając lud w niewolę. Twierdze: Cetyna, Wrlika, Glawas, Potrawje, Wir, Sinj, Nutjak i Czaczwin, stały pustkami. Właściciele bogatych włości i obronnych grodów wobec niemożności oporu przeciw najeźdźcom, szukali schronienia w nadmorskich warowniach Weneccy, za nimi szli wieśniacy, zostawiając na łup opuszczone wsie i miasteczka. Mieszkańcy Kninu, Wrliki, Sinja, Klissy i t. d. pozostali bez obrońców i stróżów bezpieczeństwa, ponieważ nie było funduszy na utrzymanie wojska. Znikły klasztory Franciszkańskie, kościoły parafialne, a duchowieństwo świeckie rozbiegło się na

wszystkie strony. Na całej przestrzeni, między rzekami Cetyną a Zermanią nie było ani jednego kapłana świeckiego, ani jednej świątyni²⁾.

Taki był stan Dalmacyi prawie aż do połowy XVII wieku.

Wenecyanie spostrzegli, że wobec groźnego sąsiada nie można dłużej bawić się w dyplomatyczną neutralność; poznali, że prędzej czy później, muszą razem z Dalmatyńczykami stanąć do boju i zwyciężyć lub zginąć. Decyzja do stanowczej rozprawy z potęgą turecką na-

¹⁾ Zob. Farlati I. c. T. III. p. 427.

²⁾ Zob. Franovci države Presv. Odkupitelja i hrvatski puk u Dalmaciji. Napisao O. Stipan Zlatović. Zagreb, 1888, str. 42.

stała niestety dopiero około r. 1645, kiedy senat wenecki zamianował naczelnikiem wojskowym i cywilnym swych posiadłości w Dalmacyi Leonarda Foscolo. Ten po zwiedzeniu wybrzeży, po zorientowaniu się jakiego wroga ma przed sobą, jakimi rozporządza siłami, doszedł do przekonania, że nie posiada ani dostatecznych pieniędzy, ani wojska, ile potrzeba do obrony kraju. Znając jednak doniosły wpływ OO. Bernardynów na ludność dalmatyńską, postanowił zawiązać układy, czyby nie mogli dopomóc jemu, a zarazem chrześcijańskiej ludności do zrzucenia tureckiego jarzma. W tym celu udał się do Spalato, wezwał na naradę dalmatyńskich serdarów i O. Piotra Kačića, prowincyała OO. Bernardynów. Projekt generała Foscolo był następujący: Serdarowie i OO. Bernardyni przygotowują ludność dalmatyńską do złączenia się z wojskiem Rzeczypospolitej weneckiej, gdy ta wypowie wojnę Turcyi.

O. Piotr Kačić znalazł się w trudnem położeniu. Z jednej strony nie chciał brać udziału w rewolucyi politycznej, chociaż skierowanej przeciw wrogom wiary, z drugiej ciążący na nim obowiązek czuwania nad duchowną potrzebą ludności był nie do wykonania wobec coraz sroższego prześladowania chrześcijan. Po dłuższym namyśle przychylił się do projektów generała Foscolo i zawiadomił o nich klasztory swej władzy podległe, oraz zachęcił do korzystania ze sposobności wydobycia chrześcijan z prawdziwie babilońskiej niewoli mahometan.

Trudności w tym względzie nie było żadnych. Owszem, wszyscy Dalmatyńcy oczekiwali z upragnieniem wolności dla Kościoła, mniejsza o to, że nie pod sławiańskim lecz weneckim znajdują się panowaniem.

W dniu oznaczonym zjechali się przedstawiciele chrześcijańskiej ludności do Makarski i ułożyli akt dobrowolnego poddania się Wenecyi, a zarazem oświadczyli gotowość poświęcenia mienia i życia dla sławy chrześcijańskiego oręża. W tym czasie O. Piotr Kačić został zamianowany biskupem Makarski. Wpierw zanim objął swą rezydencję, zawarł układ pisemny z Senatem weneckim, mocą którego wojska Rzeczypospolitej miały rozpocząć od zdobycia na Turkach Zadworja, najsilniejszej twierdzy dalmatyńskiej, od której zależało bezpieczeństwo całej dyecezyi Makarskiej i Primorja. Obecność Biskupa między wojskiem, dodała otuchy żołnierzom; z niezwykłym zapałem wpadli na tę twierdzę i wyrwali z rąk nieprzyjaciół.

Po tem świetnem zwycięstwie X. biskup Kačić w towarzystwie siły zbrojnej i głównodowodzącego generała weneckiego Caotarta, udał się do Makarski, odbył ingres do swej dyecezyi. W uroczystość Wniebowzięcia Najśw. Panny odprawił Mszę św. w kościele OO. Bernardynów, a po odśpiewaniu *Te Deum laudamus*, pobłogosławił chorągiew św. Marka, na której wraz z całym ludem złożył przysięgę wierności dla Rzeczypospolitej weneckiej. Następnie podał sztandar

komendantowi twierdzy, a ten go zatknął na szczycie wieży, gdzie sterczał przedtem turecki półksiężyc.

Za przykładem OO. Bernardynów, zostających pod jurysdykcją X. biskupa Piotra Kačića, poszli członkowie zakonu także z innych prowincyi i raz po raz całe okolice zaprzysięgały wierność Wenecyi. Chociaż przed Turkami starano się jaknajściślej zachować tajemnicę, było to jednak prawie niepodobieństwem. Dlatego władze tureckie poczęły baczniejsze oko zwracać na OO. Bernardynów i niejednokrotnie karały ich śmiercią. Tak n. p. gdy jakiś Serb wschodniego wyznania zaskarżył O. Mija Terkovića, proboszcza kotarskiego o polityczne knowania, Durat-bey bez długiego procesu kazał go pochwyć i wbić żywcem na pał, a gdy skonał, trupa wywiesił na murach miasta. W Cetynie O. Bukovićowi ścięli Turcy głowę, podobny los wielu innych spotkał, jednak nie odstraszało to od poświęcenia się za świętą sprawę i owszem, dodawało otuchy i męztwa pozostałym przy życiu¹⁾.

Po jakimś czasie, Turcy mieli dowody w rękę, że ludność na czele OO. Bernardynów usiłuje wydostać się z ich panowania. Trwoga opanowała starszyzną muzułmańską; wojska poczęły upadać na duchu, a tymczasem coraz to nowe tworzyły się partyzanckie oddziały organizowane przez zakonników bernardyńskich, łączyły się z wojskami weneckimi i jedną po drugiej pozycyi zdobywały na Turkach. Tak wyparło muzułmańskie wojska z całego kotarskiego okręgu, z Primorja, ze Salony, wreszcie w jesieni r. 1648 z Klissy, jednej z najważniejszych dalmatyńskich twierdz. Wieść o zwycięstwach nad półksiężycem rozeszła się niebawem po całym kraju; wojska tureckie musiały ustąpić nawet z fortów Derniszu i Kninu, tylko Wrlika, Cetyna i Sinj jeszcze pozostały w ich rękę.

Wenecyanie zamiast korzystać z dobrej sposobności zajęcia Kninu i wzmocnienia go załogą, ograniczyli się tylko na uszkodzeniu murów fortecznych, zresztą całe miasto pozostawili bez wojskowej opieki. Nic więc dziwnego, że gdy przybyły Turkom nowe posiłki z Bośni, jeszcze w tym samym roku opanowali znowu tę silną twierdzę i inne mniejsze w całej okolicy. Na domiar złego, odwołano z Dalmacyi dzielnego strategika Foscolo, a na jego miejsce senat Rzeczypospolitej przeznaczył Wawrzyńca Dolfina, nieobznajomionego dokładnie z topografią kraju, do którego przybywał. Ztąd w walkach z Turkami rozpoczęły się konsekwentnie klęski jedna po drugiej, a najdotkliwsze r. 1654 pod Kninem, gdy sprzymierzone siły włoskie i sławiańskie chciały ten stary gród kroacki odebrać wrogom. Groziło nawet niebezpieczeństwo Klissowi, gdyby mu nie był pospieszył na odsiecz pewien Bernardyn na czele partyzanckich żołnierzy.

¹⁾ Zob. O. Stipana Zlatovica l. c. str. 91.

Jaki stan podówczas był chrześcijan w okolicach między Cetyną a Zermanią, pióro wzdręga się opisać, dosyć powiedzieć, że byli bez biskupów, pasterzy, bez żadnej stałej duchowej pomocy, pozostawieni na pastwę dzikich hord, zięjących zemstą za dawne klęski.

X. Marcin Czerwiński.

(C. d. n.).

Religijne zapatrywania Kongijczyków.

—o—o—o—

O. De Wilde z Kongregacji misyjnej w Szeut-lez-Bruxelles, w następujący sposób pisze ze stacyi Nowej Antwerpii do jednego ze swych przyjaciół:

»Jeżeli my misyjonarze przybywamy do Kongo po to, aby nauczać i nawracać murzynów, to z drugiej strony należy przyznać, że sami tutaj bardzo wielu do-wiadujemy się rzeczy, o których przedtem najmniej-szego nie mieliśmy pojęcia. Na poparcie tego twierdzenia przytaczam rozmowę, jaką miałem niedawno z wychowancami kolonialnej szkoły, pomiędzy którymi znajdują się przedstawiciele wszystkich niemal plemion, zamieszkujących Kongo.

— Posłuchajcie mię z uwagą, dzieci — rzekłem pewnego razu. Skoro człowiek umrze, czy wszystko w nim umiera?

— W naszych wioskach — odpowiada jeden z chłopców — nikt o to się nie troszczy.

— U nas — dodaje drugi — po śmierci każdego wodza zabijają kilku niewolników, aby duch jego nie był osamotniony.

— A dokąd, jak mniemacie, idzie duch zmarłego wodza?

— Do lasu, gdyż każdego rana i wieczora słyhać tam donośne i ponure okrzyki *hu! hu!* Niekiedy nawet zmarli wodzowie wołają ztamtąd po imieniu swoich podwładnych, którzy się tego okropnie boją.

— Powiedzcie mi teraz, dzieci, czy wiecie, że oprócz duchów zmarłych ludzi, istnieją jeszcze inne duchy, i że największym, najdoskonalszym duchem jest Pan Bóg? Czy wasi rodzice wiedzą o istnieniu Boga?

— Tak, zowią Go *Nzami*, *Nzakomba*, *Fidie* albo *Hanza*, oprócz tego zaś największy Duch ma jeszcze wiele innych imion.

— A gdzie podług mniemania waszych rodziców mieszka zawsze Pan Bóg?

— Nad nami, bardzo, bardzo daleko.

— Czy boicie się Go i myślicie, że jest złym?

— Nie, nie wiemy jakim jest.

— A czy lud wasz zna także szatana?

— O tak, a nawet szatanami nazywa czarowników.

— Jakże w waszym języku brzmi nazwa szatana?

— *Molochi*, *Ndoki*, albo jeszcze inaczej.

— Jeżeli kto z was wzywa szatana lub czarownika, czy on spieszy mu na pomoc?

— Bynajmniej, nawet się za to okropnie gniewa.

— Nie lubicie więc szatanów i czarowników?

— Naturalnie, bo są bardzo źli.

— Cóż czynią złego?

— Zabijają wielu ludzi i wyrządzają rozmaite szkody.

— Jakie na przykład?

— Rzucają na ludzi czary, za pomocą których odbierają im mowę na czas tak długi, jak im się podoba.

— Jeszcze jedno, moje dzieci. Kiedyście tu przybyli, nie wiedziałyście ani o prawdziwym, dobrym i sprawiedliwym Panu Bogu, ani o Jego przykazaniach. Skoro więc czyniliście co złego, czy rodzice ganili was za to?

— I owszem, niekiedy i to się zdarzało. W takim razie ojciec mawiał mi zwykle: »Jeżeli jeszcze raz to zrobisz, z pewnością zachorujesz«. Czasami też bił mię lub groził, że odda na pożarcie krokodylom.

— Nieprawdaz, że skoro kto u was zostanie pożarty przez krokodyla, to mówicie, że smutny ten wypadek nastąpił skutkiem czarów, rzuconych na nieszczęśliwą ofiarę?

— Tak, ponieważ niektórzy ludzie mają tak wielką władzę nad tym potworem, że skoro mu każą pożreć kogokolwiek, to ich natychmiast usłucha.

— Czy istnieją u was jeszcze jakiegokolwiek inne podania o tem zwierzęciu?

— O tak! Starzy ludzie mówią, że krokodyl zawiera niekiedy przymierze z hippopotamem. Ten wówczas zobowiązuje się zabić jakiego człowieka dla swego sprzymierzeńca, krokodyl zaś nawzajem pozwala mu przebywać spokojnie u brzegów rzeki i nigdy go już nie zaczepia.

— Mówiłem wam kiedyś, dzieci, o strasznych scenach potopu i jak to Noe z rodziną szczęśliwie ocalał. Czy u was nie opowiadają czegoś podobnego?

— Nie.

— Jesteście tego pewni?

— Owszem, woła jeden z chłopców, słyszałem raz opowiadanie, że kiedyś nasi przodkowie chcieli wdrapać się na księżyc i w tym celu zbudowali dużo, dużo domów jeden na drugim, aby się po nich wspinać ku górze.

— Czyżby to miała być wieża Babel? — pomyślałem sobie, po chwili zaś zapytałem chłopców:

— Cóż, czy dotarli do księżyca?

— Nie, ogromny ten budynek upadł i wielu ludzi zginęło pod gruzami.

— Powiedzcie mi teraz, czy ktokolwiek u was umie czytać i pisać w ojczystym języku, aby mózż przekazać potomności takie podanie z dawnych czasów?

— Nie, Ojciec, murzyni nie znają żadnego pisma.

— Do czegoś służy dziura, którą przekłuwacie w uszach i która u wielu z was jest tak wielką, że możnaby do niej wpakować dwa palce?

— Służy to za oznakę, że jesteśmy niewolnikami.

— Czy panowie wasi są bardzo źli?

— Nie, nie bardzo, zwykle nawet razem z nimi jadamy i śpimy. Tylko od czasu do czasu, gdy pan uczuje głód, staje się bardzo złym i wówczas trzeba uciekać.

— Dlaczego?

— Bo w przeciwnym razie biedny niewolnik z pewnością zostanie pożarty.

— Kiedyż wasi panowie najczęściej zabijają niewolników?

— Po śmierci każdego wodza. Niekiedy jednak pan mówi do swego niewolnika: »Idź i umyj się natychmiast.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że skoro niewolnik się umyje, wówczas pan ucina mu głowę, z ciała zaś jego wyprawia sobie ucztę. Jeżeli jednak niewolnik odgadnie, o co chodzi, to zamiast usłuchać rozkazu okrutnego pana, ukrywa się na czas pewien w lesie lub zaroślach. Czasami także pan odzywa się do niewolnika: »Idź, przynieś mi drzewa«, skoro zaś drzewo porąbane zostanie, wówczas każe mu jeszcze przynieść suchych liści. W takim razie każdy sprytny niewolnik ratuje się ucieczką.

— Dlaczego?

— Bo pan ułożywszy z drzewa stos, zabija niewolnika i na suchych liściach piecze jego ciało.

— Zdaje mi się, że taki pan chociażby najbardziej był głodny, nie potrafi jednak spożyć całego człowieka.

— Naturalnie że nie, ale też zwykle zaprasza na ucztę wszystkich swych krewnych i przyjaciół.

— A jednak okrutnych tych panów nazywacie *tata*, czyli ojcami, nieprawdaz?

— Rzeczywiście, tak ich nazywamy.

— Ależ, moje dzieci, cóż to za ojciec, który własnych pożera synów! Teraz jednak wiecie już dobrze, że macie w niebie Ojca, który pragnąc waszego szczęścia na tym i na tamym świecie, spełnia zawsze prośbę dziecięcia, wzywającego Stwórcę słowami modlitwy: »Ojciec nasz, któryś jest w Niebie«. Powiedzcie mi jednak teraz, czy nikogo więcej się nie boicie oprócz nieludzkich swych panów?

— Bardziej jeszcze od nich boimy się Arabów, gdyż ci daleko okrutniej z nami się obchodzą. Od czasu do czasu liczne ich gromady przybywają w nocy do naszych wiosek i nagle wpadają do domów z okropnym okrzykiem, mordując lub chwytając każdego, kogo napotkają. Wówczas wszyscy nasi myślą już tylko o ucieczce, ale Arabowie ścigają nas zawzięcie i jeżeli murzyni nie znajdą bezpiecznej dla siebie kryjówki, to prędkiej lub później wpadają w ręce nieprzyjaciela.

— A to jakim sposobem?

— Oto Arabowie zbliżają się do zarośli, w których murzyni zwykli się ukrywać i wołają: »Hej, hej! ty niegodziwco, widzę cię dobrze i jeżeli natychmiast nie wynijdziesz z za krzaku, to strzelę«. Wprawdzie mówią tak najczęściej na chybił trafił, ale wielu murzynów daje się rzeczywiście oszukać w ten sposób i powoli wysuwa się z zarośli.

— Czy wówczas Arabowie ich zabijają?

— Nie zawsze, owszem młodym, silnym i dobrze zbudowanym darowują zwykle życie, ale natomiast obarczają ich łańcuchami i zmuszają iść za sobą. Ci, którzy osłabną w drodze, zostają dobici kolbami lub włócznią.

— Dziwi mię bardzo, że wy, murzyni, nie stawiacie nigdy oporu waszym prześladowcom.

— Owszem, zdarza się to niekiedy, a mianowicie wówczas, gdy przeważamy ich liczbą. Zwykle też wtedy mnóstwo Arabów pada trupem, reszta zaś ucieczką się ratuje. Teraz atoli Arabowie boją się białych żołnierzy, dobry zaś Bóg przysłał nam ciebie Ojcie, abys nas uczył i żywił. Dlatego też jesteśmy już teraz zupełnie szczęśliwi i będziemy słuchali zawsze Pana Boga i ciebie.

— O tak, zawsze, zawsze! — wołają chórem mali murzyni.

Biedne dzieci! biedny lud ten cały! nieszczęśliwe Kongo! O jakże się cieszę, że mogę poświęcić całe życie oświecaniu wydziedziczonych tych ludzi w wierze świętej i ulżeniu tak okropnej ich doli!

Z INDYJ.

Świeże męczeństwo za wiarę.

Od chwili umęczenia błogosławionego Jana de Britto przez pogan z Marawy, niejeden misjonarz przelał w Indjach krew swą za Chrystusa, wynikiem zaś poświęcenia ich i bohaterstwa były nader liczne nawrócenia krajowców. Możemy się spodziewać, że bolesny, chociaż wzniosły dramat, opisany w następującym liście, stwierdzi również prawdę pięknych słów Tertulliana: *Sanguis martyrum semen christianorum*.

»Na początku roku bieżącego, pisze O. Carrier z naszego Zakonu, misjonarz w Trichinopolu, jedna karta w misyi w Madurze krwawemi zapisała się zgłoskami, najgorliwszy bowiem z naszych kapłanów O. Ambroży Amirdam został zamordowany przez pogan, którzy otoczywszy go niespodzianie, zabili żelaznymi drągami.

»Nowy ten męczennik, urodzony w Hariscal dnia 3 września 1858 r., pochodził z zacnej i zamożnej hinduskiej rodziny. Po świetnem ukończeniu studyów w kolegium Nagapatamskiem, otrzymał święcenia kapłańskie i od tej chwili z zupełnem zaparciem się siebie, oddał się całą duszą nawracaniu pogan i doskonaleniu chrześcijan. W przeciągu 12 lat swego kapłaństwa gorliwy zakonnik ogromne położył zasługi, on to bowiem od r. 1884 ochrzcił stunkowo najwięcej dorosłych pogan.

»Dnia 9 stycznia b. r. o godzinie 4 popołudniu O. Amirdam, pełen życia, zdrowia zapału i odwagi, jechał do Tutikorynu, gdzie go oczekiwał O. Artur Allehin, dawny oficer marynarki, nawrócony

przed dziesięciu laty na katolicyzm, aby z nim razem zwiedzić wszystkie stacy misyi madurskiej.

Właśnie O. Amirdam dotarł do Palagakagelu, gdy grono chrześcijan wyszło na jego spotkanie, mówiąc, że pewien kapłan pogański, uchodzący za czarownika, zaczął budować sobie dom na terytorium katolickiego probostwa.

»Oburzony O. Amirdam natychmiast udaje się na miejsce i przekonawszy się o co chodzi, stawia energiczny opór takiemu nadużyciu, oraz wzywa na pomoc policyę, której posterunek znajduje się w odległości 50 kroków. Zaczyna kapłan nie stracił ani na chwilę zimnej krwi, owszem z powagą i godnością wyrzucał poganom ich niesprawiedliwość. Przed nadejściem agentów policyjnych zbliżył się do misjonarza pewien poganin i ogromnym żelaznym drągiem niespodziewanie uderzył go w szyję. Cios ten chociaż bardzo gwałtowny, a nawet śmiertelny, nie od razu jednak nieszczęśliwemu kapłanowi odebrał przytomność, gdyż upadłszy na kolana O. Amirdam, złożył pobożnie dłonie i podniósł wzrok ku niebu, jak gdyby się modlił. Jestem przekonany, bo znałem go osobiście, że czując bliskość śmierci, przebaczył swym katom i w głębi duszy błagał Pana Boga słowami ukrzyżowanego Chrystusa: »Ojciec odpuść im, bo nie wiedzą co czynią!«

W tejże samej chwili drugi morderca, okrutniejszy jeszcze od pierwszego, wymierzył sztabą żelazną śmiertelny cios w głowę zakonnika i zadał mu ranę na trzy cale głęboką, idącą przez wierzchołek czaszki aż do lewego ucha.

Nieszczęśliwy kapłan upadł na ziemię, nurzając się w kałuży krwi. Tymczasem rozjąttrzeni poganie nie przestawali się znęcać nad męczennikiem, jeden z nich nawet uzbrojony w ogromny nóż, chciał mu uciąć głowę i ręce, gdy pewien dzielny chrześcijanin zdołał z narażeniem własnego życia powstrzymać świętokradzką dłoń i wydrzeć kapłana z rąk morderców.

O. Amirdam chociaż pozbawiony przytomności i zupełnie bezwładny, żył jeszcze przez kilkanaście godzin. Dowiedziawszy się o okropnym wypadku, podążyłem natychmiast do Palagakagelu z kilkoma pocziwymi neofitami, lecz pomimo wielkiego pośpiechu przybyłem tam dopiero około północy. Ranny odzyskał na chwilę przytomność, ale z ust ciągle sączyła się krew, ciałem zaś konwulsyjne wstrząsały kurcze. Przedewszystkiem więc udzieliłem mu Sakramentu Ostatniego Namaszczenia, poczem pokazałem krucyfiks i obrazek Matki Boskiej, wątpię wszakże czy mię zrozumiał, a nawet czy poznał.

Po oddaniu ostatniej religijnej posługi, wysłałem gońca do Tutikorynu z prośbą o przysłanie lekarza i jednego z naszych Ojców, ale noc była bardzo ciemna, postanieniec zaś miał przeszło 15 mil do przebycia, nie rychło więc mogłem spodziewać się pomocy.

O pierwszej po północy zauważyłem, że puls stawał się coraz słabszy, a członki chorego powoli sztywniały. Z rany płynęła ciągle krew, której w żaden sposób nie zdołaliśmy zatamować.

Dzięki ogrzewaniu nóg butelkami z gorącą wodą, jak również nacieraniu członków naftą i okładaniu synapizmami, puls zaczął stopniowo coraz silniej uderzać i ciało umierającego odzyskało trochę naturalnego ciepła. Wreszcie o piątej rano nadszedł do Tutikorynu O. Peyret wraz z lekarzem, który niestety oświadczył, że chwile O. Amirdama są już policzone. Wszyscy obecni zaczęli odmawiać modlitwy przy konających, ja zaś z O. Peyret'em odprawiłem przy łożu chorego Mszę świętą na jego intencję.

Około godziny 10 rano lekarz widząc, że w stanie jego pacjenta żadna nie objawia się zmiana, rzekł:

— Tu nie zdolamy go ocalić, ale w Tutikorynie, gdzie są pod ręką wszystkie lekarstwa i narzędzia, może Bóg nam pozwoli uratować mu życie.

Postanowiliśmy więc przewieźć niezwłocznie chorego do Tutikorynu, ale niestety, wkrótce po przybyciu drogi nasz O. Amirdam ostatnie wydał tchnienie.

Oto, w jaki sposób zakończył życie jeden z najgorliwszych naszych współbraci. Miejmy nadzieję, że nowy męczennik wyjedna u Boga liczne nawrócenia krajowców, pogrążonych jeszcze w ciemnościach poganizmu i występku.

Zbytecznem byłoby mówić o procesie, jaki się wytoczył z powodu zamordowania dzielnego misjonarza, któż bowiem zdoła odgadnąć, w jaki sposób bolesna ta sprawa rozstrzygnięta zostanie. Winowajcy, niestety, są bogaci i wielkim wśród pogan cieszą się wpływem. Natomiast nie powinienem pominąć milczeniem rozrzewniającego przywiązania, współczucia i poświęcenia naszych chrześcijan.

Trudno zaiste opisać scenę, jaka nastąpiła, gdy umierającego kapłana wyniesiono z mieszkania i położono do palankinu, który przez całą drogę nieśli nasi wierni, zmieniając się kolejno. Wiele kobiet i dzieci towarzyszyło również smutnemu temu orszakowi, zalewając się ciągle rzewnymi łzami. Dziś w całej okolicy ubiegają się wszyscy o grudek ziemi, skropioną krwią męczennika, każdy bowiem pragnie mieć jakąkolwiek po nim pamiątkę.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Azya. — Missya Dominikańska w Mezopotamii. O. Duval z Zakonu Kaznodziejskiego, pro-prefekt apostolski misyi w Mezopotamii, pisze z Mossulu:

»Missya nasza liczy 19 misjonarzy i 14 Sióstr, osiadłych we czterech główniejszych stacjach misyjnych: Mossulu, Mar-Jakubie, Dżerirehu i Wanie.

»Syryjsko-chaldejskie nasze seminaryum, założone w r. 1882, nader pomyślnie się rozwija. Celem jego jest kształcenie duchowieństwa syryjskiego i chaldejskiego obrządku, zkad też pochodzi nazwa syryjsko-chaldejskiego seminaryum. Liczy ono zwykle 38 uczniów z rozmaitych tutejszych dyecezyj.

»W maju i czerwcu roku ubiegłego 11 uczniów naszego zakładu, a mianowicie 8 syryjskiego i 3 chaldejskiego obrządku, ukończywszy pomyślne studia teologiczne, otrzymało święcenia kapłańskie. Od chwili założenia naszego seminaryum, 23 jego uczniów zostało już kapłanami.

»Z tego, co powiedziałem, z łatwością zdołacie ocenić niezmierną doniosłość zakładu, powierzonego nam miłościwie przez Stolicę Apostolską. Prawie można powiedzieć, że przyszłość syryjskiego i chaldejskiego Kościoła w naszym już teraz znajduje się ręką. Dlatego poczytujemy seminaryum za najgłówniejszy cel naszej misyi, ufność zaś, z jaką Stolica Apostolska powierzyła nam jego kierunek, uważamy za największy dla siebie zaszczyt».

Nowy kościół św. Piotra w Wizagapatamie. — Pewien misjonarz ze Stowarzyszenia św. Franciszka Salezego, pisze z Wizagapatamu do swego przełożonego O. Tissot'a:

»Dnia 19 listopada 1893 r. odbyło się w Wizagapatamie poświęcenie kamienia węgielnego kościoła. Była to prześliczna ceremonia. W obrębie przyszłego kościoła, oznaczonym ślicznymi girlandami z kwiatów i zieleni, wznosił się ogromny krzyż, u stóp którego X. Biskup odprawił nabożeństwo. Dokoła niego tłoczył się olbrzymi tłum, złożony z Europejczyków i krajowców katolików i protestantów, neofitów i pogan.

»Pewna nieprzewidziana okoliczność więcej jeszcze pięknemu temu obchodowi dodała okazałości. Oto sir Karol Pritchard, członek Rady wice króla w Indyach i minister robót publicznych, przybywszy wówczas właśnie do Wizagapatamu, aby obejrzeć miejsce, w którym ma stanąć port, jak również najnowsze budynki kolei żelaznej, zapragnął wziąć udział w naszej ceremonii, obecność zaś jego niemałe na Hindusach wywarło wrażenie.

»Nazajutrz rano przełożona Sióstr św. Józefa, otrzymała następujący list:

»Wielebna Matko!

»Mam nadzieję, że wraz z życzeniami najlepszego powodzenia, zechcesz odemnie przyjąć dla waszego klasztoru skromną kwotę 200 franków, którą tu załączam. W innych zakątkach Indji widziałem nieraz, ile dobrego robią podobne instytucje i sądzę, że tak jak wszystkie inne prace waszego Zgromadzenia, cieszą się widocznem błogosławieństwem Bożem.

Szczerze przyjazny

Karol Pritchard.

Chiny. Szang-Hai. — O. Ravary, misjonarz z Szang-Haju, który nam przysłał interesującą swą pracę o stosunkach religijnych chrześcijan i pogan miejscowych, uzupełnił podane szczegóły, drukowane w *Misyjach katolickich* r. 1893 (str. 146, 185, 210, 237, 267, 290, 314), nadesłaniem rysunków zamieszczonych w niniejszym zeszycie.

Pierwszy z nich na str. 181 przedstawia processję pokutniczą w Szang-Haju, jaka się odbywa trzy razy do roku, t. j. podczas wiosennego porównania dnia z nocą, 15-go dnia 7-go księżyca i 1-go dnia 10-go księżyca. We wszystkich miastach i miasteczkach cesarstwa chińskiego, odbywają się podobne processje na cześć opiekuńczych bożków.

Najbardziej uroczysta jest pierwsza w roku processja, a to dzięki licznemu napływowi ludności i mnóstwa pokutników i dzieci idących przed posągiem bóstwa. Całe to nabożeństwo chińskie jest jakby wyśmiewiskiem ceremonii chrześcijańskich, tyle w niem sprzeczności, zwłaszcza w processji dzieci niewinnych, występujących jako zbrodniarze. (Obszerniej o tem pisaliśmy w *Misyjach katolickich* r. 1893, str. 237).

Na str. 177 rycina przedstawia ofiary składane w Chinach, a mianowicie z wołu, wieprza i owcy, podczas wiosennego i jesienno-porównania dnia z nocą. Ofiara ta istniała już tysiąc lat przed naszą erą. Dawniej była składana tylko niebu i wyższemu duchom, dziś licznym bałwanom. »Ofiary na grobach przodków« od niepamiętnych czasów składają Chińczycy we wszystkich prowincjach swego państwa na wiosnę. Ofiarodawcą i mistrzem ceremonii jest naturalnie ojciec rodziny, przyodziany w najpiękniejsze szaty. Prócz rodziny nikt w tej ofierze udziału nie bierze. Jak dziecinna i śmieszna jest ta ceremonia biednych pogan, obszerniej pisaliśmy w *Misyjach katolickich* z r. 1893, str. 268—271.

Wikaryat apostolski wschodniej Mongolii. — X. biskup Teodor Herman Rutjés z Kongregacji w Scheut-lez-Bruxelles, wikaryusz apostolski wschodniej Mongolii przesyła nam trochę pocieszających szczegółów o tej misji, która niejednokrotnie dotąd nader bolesne musiała znosić próby. Na początku swego sprawozdania czcigodny ten prałat uskarża się na to, że wbrew obietnicy rząd chiński nie wypłacił jeszcze odszkodowania za zniszczenie przez pogan licznych misyjnych zakładów. Dalej jednak dodaje, że pomimo tego misjonarze gorliwie zabrali się do pracy w celu podźwignięcia z upadku dawnych swych posterunków.

»Obecnie jesteśmy zajęci budową szkoły i rezydencji misyjnej w San-Szeh-Czyn-Tsu, restaurację zaś ochronki i innych budynków na później musieliśmy odłożyć. Ponieważ sieroty z dawnej ochronki w San-Szeh-Czyn-Tsu zostały umieszczone w domu św. Dzieciństwa w Pei-Tsu-Szen-Hu, i tamten więc zakład musi odpowiednio zostać powiększony, gdyż teraz okropna panuje w nim ciasnota.

»W robu bieżącym powiększyliśmy także ochronkę w Mao-Szan-Tungu, teraz zaś zamierzamy uczynić toż samo w pobliskiej wiosce Ma-Szyn-Tsu. Dotychczas jeszcze w całej północnej części mego wikaryatu okropny panuje głód i mnóstwo pogańskich rodzi-

ców zwraca się do nas z prośbą o przyjęcie ich dzieci do naszych zakładów. Niewielka szkółka w Nech-Men-Tsu, niedawno przez nas zrestaurowana, w kwitnącym już teraz znajduje się stanie, a nawet O. Van Dyck ochrzcił tam bardzo wielu dorosłych. W Czien-Tung-Tsu-Ku ofiarował pewien neofita własny swój dom na szkołę, jednocześnie zaś O. Van Dyck rozpoczął budowę ochronki w Kao-Czia-Czang-Tsu. Wreszcie i w pobliżu naszej rezydencji w Szung-Szu-Tsui-Tsu prąd religijny coraz silniej objawiać się zaczyna.

»Niedawno temu przybyło do nas po raz drugi poselstwo złożone z 17 osób, wysłanych przez pogańską ludność pewnej wioski o 6 mil ztąd odległej, której mieszkańcy proszą usilnie o przyślanie im misjonarza. Jutro więc uda się tam pewien kapłan chiński wraz z naszym katechistą Z radością też dodać mogę, że i w Fich-Cziang-Yin-Tsu liczba nawróconych znacznie się zwiększyła, około zaś 30 mieszkańców wsi Yu T'ins-T'joan'Erh zgłosiło się do naszego katechumenatu. Nie powinniśmy wreszcie zapominać, że wyniki apostolskiej działalności w Paku i Pai-Tsu-Czanie również okazały się pomyślne, oby tylko Bóg i nadal błogosławić nam raczył!«

Persya — Cierpienia i pociechy misjonarzy Lazarystów. Od chwili objęcia misji perskiej przez Lazarystów w r. 1840 biedni misjonarze musieli niejednokrotnie znosić rozmaite cierpienia i przesładowanie ze strony fanatycznych muzułmanów i bardziej jeszcze od nich przyjaznych nestoryanów. Wprawdzie w ostatnich czasach nieprzyjacielskie stosunki szacha ze stolicą Apostolską, zapewniły misji większą niż dotąd swobodę działania i rozmaite przywileje, z drugiej jednak strony, sekty angielskie i amerykańskie, rozporządzające ogromnymi funduszami, nader groźnego dla misjonarzy stanowią nieprzyjaciela.

Następujące sprawozdanie, otrzymane od Lazarystów z Wiednia, pozwala nam rzucić okiem na obecny stan misji perskiej. Rozpocznia je dość pomyślna dla katolików wiadomość.

»Przesyłam wam, pisze X. biskup Montéty, delegat apostolski w Persyi, kilka szczegółów o wynikach naszej działalności w Urmiahu. Oprócz Urmiahu, gdzie mamy stałą rezydencję, urządzaliśmy też misye w trzydziestu sąsiednich wioskach. Misye te odbywały się pod kierunkiem jednego z naszych współpracowników O. Salomona, oraz pięciu młodych kapłanów, wykształconych w kolegium naszym w Urmiahu. Nietylko ludność katolicka, ale nawet wielu nestoryanów wzięło gorliwy udział w pobożnych tych ćwiczeniach. Nauki w jak najprostszy i jak najbardziej popularny odbywały się sposób.

Podług ostatniego sprawozdania 574 nestoryanów przeszło w roku ubiegłym na łono katolickiego Kościoła, wielu zaś innych oświadczyło również chęć po temu, ale misjonarze uznali za właściwe wypróbować wprzód ich charakter, aby się przekonać o szczerości tych zamiarów. Mam nadzieję, że w roku bieżącym cyfra nawróceń bardziej jeszcze wzrośnie. Zewsząd niemal dochodzą nas prośby o nowych kapłanów i o zakładanie szkół, dzięki zaś wielkiej gorliwości kapłanów krajowców, wykształconych w naszym zakładzie, mogą się spodziewać, że wkrótce zdołam uczynić zadość wszystkim tym żądaniom.

Około stu wiosek domaga się misji, ale obecnie młodzi nasi współpracownicy zajęci są jeszcze nauką języków, używanych w tym kraju. Jednocześnie też dopomagają mi gorliwie w rozmaitych pracach, jakich wymaga utrzymywanie kolegium, dwóch seminariów, szkół, ochronek i drukarni. Pomyślny rozwój wszystkich tych zakładów wynagradza nas hojnie za koszty i trudy, uczniowie zaś nasi okazują nam głęboką wdzięczność za otrzymane wychowanie.

O nieprzyjaznem usposobieniu nestoryanów znajdujemy nader charakterystyczne szczegóły w następującym liście O. Lesne'go.

»Korzystam ze sposobności doniesienia wam o cierpieniach i próbach, jakie od lat już trzech znosimy wciąż w Salmasie. Zdaje

się, że piekło poruszyło wszelkie sprężyny, aby podburzyć przeciw nam rozmaite sekty, dążące zaciekle do wykorzenienia katolicyzmu w tej krainie. Na czele tych sekciarzy stoją nestoryanie ze swoim biskupem. Wprawdzie ci ostatni starali się nas złudzić rozmaitemi pozorami, główną jednak pobudką do wielu niecných intryg jest nieublagana ich nienawiść względem katolickiego Kościoła. Świadczą o tem najwymowniej listy nestoryańskiego biskupa, który dnia 3 lipca roku ubiegłego pisał do dwóch kupców w Salmasie, co następuje.

Postanowiliśmy, że niebawem powinny sfać głowy przełożonego katolików ormiańskich w Zaurze, jak również X. Lesne'go, misyjonarza w Chosrowie».

We trzy miesiące później ciż sami kupcy otrzymali od biskupa list następującej treści:

»Donoszę wam, że podług naszej uchwały X. Serapion Baroniom musi umrzeć również w jak najkrótszym czasie».

Rzeczywiście po upływie dwóch miesięcy zacy ten kapłan zginął z ręki jakiegoś niegodziwego skrytobójcy, śmierć zaś jego stała się dla naszych nieprzyjaciół jakby hasłem do rozpoczęcia otwartego prześladowania. Wprawdzie morderca wraz ze swymi współnikami został schwytany i osadzony w więzieniu, ale niebawem znowu wypuszczono go na wolność.

Nie poprzestając na tem, biskup nestoryański kazał zamordować pewnego misyjonarza w Chosrowie, a zarazem rozpuścić pogłoskę, iż morderstwa tego dopuścili się katolicy tamtejsi. W parę dni później zaarrestowano pięciu katolików z Chosrowy i osadzono w więzieniu w Taurysie, gdzie ich trzymano dopóty, dopóki pan Bernay konsul w Taurysie, p. Balloy, konsul w Teheranie i pan baron d'Esp, poseł belgijski, nie wystąpili w obronie nieszczęśliwych naszych wiernych.

Niejednokrotnie też nestoryanie czekali na moje życie, zakradając się pod jakimkolwiek pozorem do naszego domu, ale rozmaite nadzwyczajne okoliczności stawały zawsze na przeszkodzie urzeczywistnieniu ich zamiarów.

Z równą zaciętością jak nestoryanie, wystąpili przeciw nam Ormianie, którzy idąc za namową protestantów, wytoczyli naszej misji nader groźny proces. Chodziło im mianowicie o cztery kościoły, znajdujące się od 250 lat w posiadaniu katolików. Wreszcie po kilku miesiącach kosztownego procesu, pierwszy minister perski przyznał nam prawo uważania tych świątyń za wyłączną naszą własność, dodając zarazem, że jeżeli nam je odebrano, to przywłaszczyciele powinni niezwłocznie naprawić tę krzywdę.

Czy teraz będziemy mogli cieszyć się spokojem, o tem bardzo wątpię, ponieważ pieniądze niezmiernie ważną grają tutaj rolę, nasze zaś środki bardzo niestety są szczupłe. Wielką atoli otuchą napelnia nas widoczna opieka Pana Boga, którego sprawiedliwa ręka w zdumiewający sposób ukarała naszych prześladowców. Oto gubernator Salmasu stracił dotychczasową posadę, kolega jego z Choi umarł nagle, gubernator zaś z Taurysu, który katolikom tyle złego wyrządził, również otrzymał dymisyę. Wreszcie wice-gubernator tauryski dostał się do więzienia, konsul turecki przekupiony przez nestoryanów, umarł po ciężkiej chorobie, co zaś do ormiańskiego biskupa, który przekupiwszy pięciu urzędników, wielkie wyrządził nam krzywdy, to zakończył on życie z cholery w przeciągu kilku godzin.

Należy też dodać, że dwaj ormiańscy kapłani, którzy wzięli udział w morderstwie X. Serapiona, nie uniknęli również zasłużonej kary niebios, jeden z nich bowiem umarł nagle, drugi zaś przypadkiem się zastrzelił. Sami nawet muzułmanie uznali wówczas, że »jesto widoczna kara Boża«.

Co do nas, to sądzimy, że wymowne te przykłady stwierdzają najlepiej oddawna uznaną prawdę, iż kto w Panu ufność położy, z pewnością nie zostanie zawstydzony».

Afryka. — Fernando-Poo. O. Armengol Coll, misyjonarz Kongregacyi Niepokalanego Serca Maryi, pisze z Santa-Isabel, co następuje:

»Przed kilkunastu dniami przybył do nas kilkunastoletni murzyn, który poprzednio kształcił się w domu pewnego protestanckiego pastora w Wiktoryi. Chłopak ten zaczął z początku uczęszczać do naszego kolegium jako uczeń przychodni, ale w kilka dni później po lekcjach przyszedł do mnie, oświadczając, że pragnie pozostać z nami i przyjąć naszą religię. Nazajutrz przybył dawny jego opiekun z dwiema kobietami, które utrzymywały, iż są ciotkami biednego chłopaka i pragną zabrać go ze sobą, ale ten ostatni trzymając się całą siłą mojej sutanny, zawołał błagalnym głosem:

— *Padre, yo no marcha, yo quiero seguir aqui!* (Ojcze ja nie pójdę, chcę pozostać tutaj).

Napróżno nalegał nań pastor, aby wrócił do jego domu, starając się go zachęcić rozmaitemi obietnicami, chłopak wciąż przeczącą dawał mu odpowiedź.

— *A lo menos no quieres ir con tus primas?* (To może przynajmniej zechcesz pójść ze swymi ciotkami?) — zapytał wreszcie pastor.

— *No quiero.* (Nie chcę) — brzmiała odpowiedź.

»Widząc wreszcie, że nie zdoła przełamać silnego postanowienia chłopca, pastor musiał go pozostawić w naszym kolegium, gdzieśmy go otoczyli jak najtroskliwą opieką, starając się rozwinąć szlachetne przymioty, cechujące młodocianą tę duszę. Ucieszony murzynek zabrał się też z zapalem do nauki katechizmu, tak, że w roku bieżącym mamy nadzieję udzielić mu Chrztu św. Teraz zaś muszę wam jeszcze opowiedzieć pewien fakt, jaki się tu zdarzył w ostatnich czasach, i w którym potęga, oraz miłosierdzie Królowej Niebios wyraźnie się przejawia.

»U jednego z najbogatszych mieszkańców Santa Isabel, Don Francisco Romera, służy obecnie dwunastu Senegalczyków, przywiezionych z Dakaru. Jeden z nich przypadkiem skaleczył sobie palec tak niebezpiecznie, że musiano go odesłać do tutejszego szpitala. Ponieważ mówi on wybornie po francusku, pewnego więc razu podczas mej wizyty w szpitalu, zbliżyłem się do jego łóża i zapytałem o zdrowie.

»Muszę tu jeszcze dodać, że słyszałem niejednokrotnie od Don Franciszka Romera, że wszyscy pracujący u niego Senegalczycy są mahometanami i że gubernator Dakaru, wysyłając ich do Fernando-Poo, zalecił najusilniej nie rozmawiać z nimi nigdy o religii. Pomimo tego rozmowa moja z chorym Senegalczykiem przeszła niebawem na temat religijny i biedak powiedział mi między innemi, że w dzieciństwie jeszcze został ochrzczony przez O. Cauder'a.

— Dlaczegoż — zapytałem — żyłeś odtąd jako mahometanin?

— Ojcze — odparł chory — wkrótce po moim chrzcie w kraju naszym wybuchła wojna i ja wraz z całą rodziną zostałem schwytany w niewolę przez Arabów, którzy mię zmusili do wykonywania przepisów islamu.

»Chciałem niezwłocznie rozpocząć z nim naukę katechizmu, ale nieszczęśliwy stracił tak dalece pamięć i wszelkie umysłowe zdolności, że było to prawdziwym niepodobieństwem. Kiedym zapytał lekarza, co myśli o jego stanie, ten odpowiedział mi, że niema już żadnej nadziei uzdrowienia, ponieważ biedny Senegalczyk zapadł na chorobę zwaną *tetano*, której ofiarą nader często padają murzyni. Straszna ta choroba podkopuje zupełnie system nerwowy, odbiera muskulom sprężystość i zdolność do ruchu, a wreszcie wśród okropnych cierpień sprowadza śmierć powolną, ale niechybną.

»Nazajutrz rano wychodząc do szpitala, zabrałem ze sobą medalik Matki Boskiej i darowałem go choremu, mówiąc, że będę się modlił, ażeby Pan Bóg przywrócił mu zdrowie. Byłem jednak pewny, że umrze w przeciągu doby i bardzo się zdziwiłem znalazłszy go dnia następnego daleko zdrowszym i silniejszym. Pocziwy

Senegalczyk siedział na łożu, spożywając z apetytem posiłek, którego przed włożeniem mu medalika nie mógł już wcale przełykać, rekonwalescencya zaś jego tak szybkim posuwała się krokiem, że w kilka dni później wrócił do zwykłych zajęć.

«Cudowne to uzdrowienie jest najmowniejszym dowodem łaski i opieki Matki Boskiej, mam więc nadzieję, że litościwe Serce Maryi zechce uwieńczyć rozpoczęte dzieło, pozwalając mi wprowadzić biednego Senegalczyka na drogę prawdziwie chrześcijańskiego życia».

Siostry od św. Krzyża z Menzingen (Kanton Zug w Szwajcarii) w Natalu i Kafreryi. — Jak we wschodnim Kaplandzie i Zambezie Dominikanki bawarskie, tak w wikaryacie apostolskim Natalu, szwajcarskie Siostry od św. Krzyża rozwijają już od lat kilku gorliwą i pożyteczną misyjną działalność. Z przyjemnością też wyjmujemy z listu przełożonej Siostry Cecylii następujące szczegóły o ich pracach, potrzebach i warunkach egzystencji.

«Przybyłam tutaj, pisze zacna ta Zakonnica dnia 10 stycznia 1894 r., dopiero przy końcu listopada roku ubiegłego, aby objąć naczelną kierunek nad Siostrami naszymi w tej misyi. X. biskup Jolivet, Oblat Niepokalanego Poczęcia, wikaryusz apostolski Natalu powierzył naszej Kongregacyi całą Kafreryę, polecając założyć tam szkoły dla białych i murzyńskich dzieci. Rozległe to terytoryum składa się z krain Tembu, Griqua i Pandu, cały zaś jego obszar ma przeszło 17.000 mil angielskich powierzchni.

«Oprócz portowego miasta St. John, należącego do Anglików, lecz bardzo mało jeszcze zaludnionego, kraina Pandu ma dotąd własnych tylko wodzów kafrjskiego pochodzenia i do pewnego stopnia zachowała jeszcze swoją niepodległość.

«Przed dziesięciu laty przybyły tutaj pierwsze nasze Siostry i zamieszkały najprzód w Umtacie, w nędznych lepiankach z gliny i chrustu, miejscowość ta bowiem oddalona o 150 mil od wybrzeża i europejskich kolonij, niestęchanem wówczas odznaczała się ubóstwem. Na przestrzeni kilkudziesięciu mil nie widać dziś jeszcze nic zgoła, oprócz ubogich kafrjskich chałup, rozrzuconych tu i owdzie na wzgórzach. Sama Umtata jestto mała, malownicza miejscina, posiadająca ładny park, przed kilku laty założony i trochę piętrowych domków. Ludność katolicka złożona z 80 osób, jest bardzo dobra, pocziwa, przywiązana do kapłanów i zakonnic, główne zaś jej zatrudnienie i źródło zarobku stanowi handel z murzynami.

«Mamy tu dom zakonny z 10 Siostrami, tyluż nowicyszkami i 100 uczniami, oraz uczennicami europejskiego pochodzenia. Nadto posiadamy w Griqua dwie stacje misyjne Kokstad i Mont Friere, w których się kształci około 100 białych kafrjskich dzieci od lat 3 do 15. Wreszcie w krainie Tembu mamy oprócz Umtaty stację misyjną Cala, do której w przyszłym tygodniu wyruszy sześć naszych Sióstr na ogromnym wozie, ciągniętym przez woły.

«Droga do Cala wiedzie wśród miejscowości nader trudnych do przebycia, tembardziej, że w ciągu tej podróży, trwającej od 1 do 3 tygodni, trzeba się przeprawiać przez pięć ogromnych rzek, co nader niebezpieczną jest rzeczą. Nadto biedne Siostry muszą zabrać ze sobą mnóstwo najniezbędniejszych przedmiotów do urządzenia świątyń, szkoły i domu.

«Założenie każdej nowej stacyi misyjnej wyczerpuje zwykle najokropniej nasze fundusze, a nawet obarcza misyję coraz to nowymi długami. Pocieszam się jednak nadzieją, że dzięki temu, zdolamy pozyskać około stu dzieci dla świętej naszej wiary, na tak piękny zaś cel nie wahałabym się poświęcić ostatniego nawet szeląga.

«Pragnąc wyrzec jakikolwiek wpływ na najbliższą otaczających nas krajowców, nabyliśmy niedawno w odległości dwóch go-

dzin drogi od Umtaty ogromny kawał gruntu, którego uprawą trudni się ośm naszych Sióstr z pomocą kilku Kafrów.

«W roku ubiegłym dzielne zakonnice zasiały przenicę i cieszyły się nadzieją, że na Boże Narodzenie będą miały smaczny chleb z własnego zboża. Nagle pewnego dnia w całej okolicy szarańcza w przeciągu kilku godzin wszystkie zniszczyła zasiewy. Kiedy przybyłam tam w listopadzie, z pięknej naszej Szwajcarii, znalazłam nieszczęśliwą tę fermę w opłakanym stanie. Biedne Siostry, zalewając się łzami, opowiedziały mi o swej klęsce. Codziennie też niemal przez parę tygodni tępiłono miliony szarańczy, którą wieprze i kury z upodobaniem zjadały. Wszystko to jednak nie na wiele się zdało, gdyż w grudniu wyłęgło się nowe pokolenie szarańczy. Dziś zgubne te owady nie mają jeszcze skrzydeł, ale za parę miesięcy, gdy skrzydła im urosną, mamy nadzieję pozbyć się na zawsze tych nieproszonych gości, bo same ulecą.

«Chociaż rok ubiegły niezbyt pomyślnie dla nas upłynął, wkrótce jednak pomimo szczupłości funduszy, musimy zabrać się do budowy kaplicy, szkoły i domu, w którymby przynajmniej kilkadziesiąt dziewcząt kafrjskich mogło znaleźć schronienie. Teraz już nasze Siostry same wyrabiają cegły i dają je do wypalania Kafrom, aby materiał budowlany jak najmniej kosztował.

«Ponieważ jednak z powodu nieurodaju, niezmiernej drożyzny i nader niskiej opłaty szkolnej, musiałyśmy zaciągnąć dług, dlatego też jesteśmy zmuszone odwołać się do wspańiałości katolików europejskich. Anglikanie i Wesleyanie mają tu świątynie i szkoły, oraz ogromnymi rozporządzają środkami, my tylko jedne musimy walczyć z niedostatkiem i ubolewać nad tem, że z powodu braku funduszy nie możemy zdziałać tyle dobrego, ilebyśmy pragnęły».

Ameryka. — Uniwersytet katolicki w Stanie Indyana. Re-daktor *Journal des Débats* zwiedził w roku bieżącym uniwersytet pod wezwaniem Najśw. Panny w Indyannie i skreślił zajmujący opis pięknego tego zakładu.

«Administracya i kierunek wykładów w powyższym uniwersytecie — pisze między innemi — zostały powierzone Ojcom Zakonu Krzyżackiego. Zakład ten, liczący dzisiaj 600 wychowanców, udziela całkowitego wykształcenia, poczynwszy od nauki elementarnej aż do najwyższych studyów, a nawet rozda je dyplomy, które jak mi się zdaje, wielką w całej Ameryce północnej posiadają wartość. Pomiędzy uczniami uniwersytetu napotkać można młodzież ze wszystkich stanów północno-amerykańskich, a nawet z Meksyku.

«Muszę też zaznaczyć pewien charakterystyczny zwyczaj, który najbardziej zwrócił moją uwagę. Oto do stołu usługują uczniom biedni chłopcy z sąsiednich okolic, po obiedzie zaś zasiadają obok nich w klasie i bezpłatnie otrzymują naukę, którą zamożniejsi ich towarzysze muszą zwykle opłacać. Wielu z tych biedaków celuje w naukach, niektórzy zaś z nich wybitnie już w Stanach Zjednoczonych zajęli stanowiska!»

Misyja nad rzeką Pastazza. — O. Jourdain z Zakonu Kaznodziejskiego, misyonarz w Kanelosie, pisze co następuje:

«Muszę wam donieść o założeniu nowej misyi pod wezwaniem św. Dominika. Leży ona nad rzeką Pastazza, w miejscowości zamieszkiwanej przez 700 Indian, gdzie już niebawem zbudujemy kościółek. Dotychczas piękne sklepienie niebios służyło za świątynię, ubogi zaś szalas za mieszkanie dla misyonarzy, to jest jednego Ojca i jednego Brata. W całej tej okolicy jest około 60 dzieci, potrzebujących nauki, misyonarz więc musi je wziąć pod swoją opiekę, jedynym bowiem środkiem zaskarżenia serc naszych Indian jest kształcenie ich dzieci, oraz dostarczanie im odzieży i żywności».